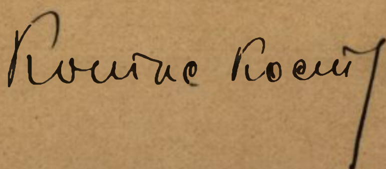
NOWY SYSTEM.



BJÖRNSTJAERNE BJÖRNSON.

NOWY SYSTEM

(DET NYE SYSTEM)

DRAMAT W 5 AKTACH A 7 ODSŁONACH.

Z NORWEZKIEGO PRZEŁOŻYŁA

JÓZEFA KLEMENSIEWICZOWA.

BRODY. | WARSZAWA.
FELIKS WEST | E. WENDE I SPÓŁKA

Odbito w drukarni Feliksa Westa w Brodach 1906.

OSOBY:

RIIS, naczelny dyrektor.
KAMMA RIIS, z domu Ravn, jego żona
FRYDERYK } ich dzieci.
KATARZYNA (zdrobniale Kara) } ich dzieci.
KAMPE, inżynier.
JAN, inżynier, jego syn.
FRYDERYK RAVN, inspektor kanalizacyi.
LARSSEN, naczelnik biura.
KAROL RAVN, inżynier.
ANNA, jego żona.
OLA RAVN, nazwana „Ciocią Olą“, matka Anny.
PREUSS, inżynier.
PREUSSOWA, z domu Ravn, jego żona.
TOMASSOWA, z domu Ravn.
STANGOWA, z domu Ravn.
KARS } inżynierowie.
LANGE } inżynierowie.
KRAFT } inżynierowie.
PRZEWODNICZĄCY komitetu kolejowego.
NORA HOLM.
LIZA GRAN.
SŁUŻĄCY naczelnego dyrektora.
SŁUŻĄCA tegoż.
SŁUŻĄCA Kampego. Goście.

AKT PIERWSZY.

Pokój z werandą.
Widok na morze; widać wyspy, krajobraz nadbrzeżny.

SCENA I.

(KAMPE, jego syn JAN, FRYDERYK RAVN. Wszyscy trzej siedzą za stołem).

RAVN. Pozwól sobie powiedzieć: jeżeli wystąpisz przeciw naczelnemu dyrektorowi — bo jego „nowy system“ zwalczać znaczy jego samego zwalczać, chociaż ów system nie jest ani jego ani nowy — powtarzam, jeżeli wystąpisz przeciw dyrektorowi...

KAMPE. Możebyśmy najpierw się napili czego?—Maryo!

JAN. Jeszcze nie, ojcze. Za ciepło. *(Do wchodzącej dziewczyny)* Kilka flaszek wody selcerskiej.

RAVN. Posłuchajże mnie tedy: jeżeli zaczepisz mojego przezacnego szwagra „nowy system“, (który zresztą nie jest nowy i nie jest jego) dasz dowód, że zapomniałeś, co znaczy taki naczelny dyrektor w naszych drobnomieszczańskich stosunkach.

KAMPE. Święta prawda!

RAVN. Postąpisz jak człowiek przybywający wprost z Ameryki.

KAMPE. All right.

RAVN. Sądzisz, że zdołasz tu zaszczepić tamtejszy liberalizm, że potrafisz tu zastosować swobodę działania praktykowaną w większych społeczeństwach? Znaczyłoby to postępować jak głupiec.

KAMPE. Hm... zakończenie...

JAN. Rozmawiałem o tem z inżynierami, którzy nie podzielają twego zdania, wuju.

RAVN. Musiały to chyba być takie półgłówki bez własnego zdania, jak mój bratanek, Karol. Ach, tutejsi inżynierowie są jak wszyscy inni. Albo mają już jakąś rządową posadę lub s arają się o nią dopiero. Jeżeli znajdują się w prywatnej służbie, wtedy albo mają porządne utrzymanie lub pragną je otrzymać — w obu wypadkach nie zadzierają z tymi, którzy są przy władzy.

JAN. Gdy przypomnę sobie tych, z którymi studyowałem za granicą —

RAVN. Ależ ci są obecnie przeważnie pożenieni. A kobiety mają jeszcze większe poczucie tego, co jest korzystniejsze. Nie zapominaj, że jesteś w ojczyznie swojej. Tu masz do czynienia z małemi duszami w małych stosunkach, rozwijającemi się nędznie a jednakuteńko jak buraki na grzędzie.

KAMPE. Zdaje mi się, że teraz przydałoby się nam coś pokrzepiającego — Maryo!

JAN. Nie, ojcze, zawcześnie jeszcze. *(Do służącej)* Cygara! — Przyznaję, że w małych stosunkach trudniej jest mówić prawdę.

RAVN. Trudniej? Niemożliwe jest!

KAMPE. Hm —?

RAVN. Ach, masz na myśli te małe prawdy, których ze dwadzieścia idzie na jedno deko? — Ale wielkie prawdy, niosące z sobą groźbę wybuchu — tych się nie mówi.

KAMPE. A jednak mówi się i —

RAVN. Dobrze, więc może się i mówi — ale sprawiają skutek strzałów, danych w powietrze. Upewniam was, że takie społeczeństwo nie zniosłoby chemicznego procesu wielkiej prawdy — rozpadłoby się. Na to trzeba silniejszych retort.

JAN. A jednak największa prawda świata wyszła z pośród małego narodu.

RAVN. Który też zgodnie z zasadą upadł.

JAN. Nie z tego powodu.

KAMPE. Ale tak sucho nam już w gardle od tego — Możebyśmy —

JAN. Ojciec ma słuszność —

KAMPE. No, wreszcie!

JAN. Za daleko odbiegliśmy od przedmiotu.

KAMPE. Niestety! —

JAN. Czuję, że będę miał wielkie trudności, że spuści się z oka samą sprawę a widzieć będzie tylko ludzi. Ale gdybym to jednak przetrwał —?

RAVN. Jesteś na zupełnie fałszywej drodze. A mówiłem ojcu: nie trzymaj chłopca tak długo za granicą, nie puszczaj go tak daleko. Będzie to musiał odpokutować za powrotem. No, nie mówiłem?

KAMPE. Rzeczywiście mówił. (*Wstaje, przechadza się po pokoju i niby przypadkiem wychodzi*).

RAVN. Już to chociażby taką powagę atakować publicznie, po nazwisku —!

JAN. Przecież zdarzały się już takie rzeczy.

RAVN. Naturalnie, że się zdarzały! Ale jeżeli ty, taki młody, nieznany człowiek —! No, co tu dużo gadać, nie powiedzie się — i koniec!

JAN. Nie opuszczę sprawy, póki życia.

RAVN. Dobrze, więc szamotaj się sam!

JAN. Nie spocznę, póki się nie utworzą stronnictwa — a może tu nie wytwarzają się żadne stronnictwa „w naszych małych stosunkach“, jak je wuj nazywa?

RAVN. Owszem, owszem, tworzą się ale z nieodłącznym od nich brudem!

JAN. Jak w wielkich.

RAVN. Bynajmniej, nie jak w wielkich. Tam rozgrywa się rzeczywista walka, niekiedy potężna walka a w niej tkwi zawsze coś podniecającego do wielkich czynów. Co sobie wtedy kto robi z tej odrobiny brudu, gdy dąży energicznie do swojego celu? Co kogo wtedy obchodzą rany czy więzienie? Zwycięży się lub padnie razem z tysiącem innych; trzyma się wysoko sztandar, a z każdem pokoleniem gromadzą się pod nim świeże siły. W ten sposób urabiają się wielkie charaktery, żelazne wole, działacze, pisarze, artyści o wielkich celach i ideach. — Ale tu? — Przypatrz się tutejszym

osobistościom: kilku złamanych, chorych, zgorzkniałych samotników, z którymi się nawet nie opłaci pracować wspólnie.

JAN. Naturalnie, ale jeżeli zwyciężą —

RAVN. Boże drogi! Zwyciężą! Gdzie niema walki, nie może też być i zwycięstwa. Trochę hałasu, krętactwa, nieprawdy, obłudy, wrzawa, zbiegowisko nawet — ale walki? Jak powiedziałem, małe społeczeństwo nawet by jej nie zniosło; pękłby krąg względów rozmaitych, w których żyje i działa. —

JAN. No, co też z wuja zrobiły zawody i niechęć!

RAVN. Tak sądzisz?

JAN. Rzeczywiście—przypominam sobie przecież, wuju, że był czas, kiedy byłeś równie śmiałym, jak dziś twój bratanek, Karol.

RAVN. I na niego przyjdzie kolej.

JAN. Niegdyś błyszczał mi wuj, naprawdę, jak dyament (*Śmieje się*).

RAVN. Dyament w zbyt silnej oprawie, chłopcze, rozpryśnie się w drobne kawałki, gdy weń uderzysz młotkiem. Porównanie zresztą wcale niezłe. Odpowiednie zupełnie dla rodziny entuzyastów, żyjącej w ciasnych stosunkach.

JAN. Ale ta rodzina entuzyastów, jak ich wuj nazywa, zdobyła uznanie i majątek.

RAVN. To było w ruchliwych czasach — przed wielu laty! Z nami dzieje się to, co z wielkimi ludźmi, którzy przecież, nawiasem mówiąc, także są tylko entuzyastami. Tyś może nie zwrócił na to uwagi? ale jeżeli prawdą jest, że wielkie państwa nie mogą się ostać bez składania na ofiarę maluczkich tysiącami — podobnie istnieć nie mogłyby małe państewka, jeżeliby kilku ze swoich wielkich i największych ludzi nie złożyły na ofiarę!

JAN. Hm.

RAVN. Pamiętaj o tem! Tu jeno potulna wola może liczyć na powodzenie — lub przebiegłość. Tylko tym się tu powodzi, którzy umieją schlebiać uśmiechem jak kobiety...

JAN. Czy wuj ma na myśli swego szwagra?
RAVN. Nie. Nie zdaje mi się, aby on uśmiechał się więcej od innych. Ale, ale, widziałeś się z jego synem moim imiennikiem — Fryderykiem? — Temu hultajowi nadano rzeczywiście po mnie imię. — A, tak, to było w owych czasach! —
JAN. No, a cóż się z nim dzieje?
RAVN. A więc z tego tonu? — Słyszałeś już zatem?
JAN. Wuj myśli o tej historyi z — ?
RAVN. No, śmiało, dalej!
JAN. Nie, najpierw ty, wuju!
RAVN. Zresztą, niechaj będzie! Z Anną, córką mojej gospodyni, która obecnie zmuszona jest wyprawiać się do Ameryki.
JAN. Tak, słyszałem o tem.
RAVN. Ot ten kpi sobie z wszystkiego! *(Bierze cygaro)*.
JAN. Prawda, Fryderykowi z pewnością powiedzie się w życiu. Słyszałem wczoraj, że ojciec jego z ministrem już uradzili jakąś partyę dla niego.
RAVN. Bardzo prawdopodobne. I ojciec tak samo zrobił.
JAN. Jakto? I on także?
RAVN. Porzucił młodą dziewczynę dla karyery. A wiesz kto to był? Ciotka Anny!
JAN. Stara Maryanna?
RAVN. Cicho, ktoś idzie!
JAN. Kara!

SCENA II.

Poprzedni. KARA RIIS. Później KAMPE.

KARA. Przepraszam!
JAN. Pani — tu?
RAVN. Ho, ho!
KARA. Przecież droga wiedzie tędy.
JAN. Słusznie — ale nie mieliśmy nigdy przyjemności — przynajmniej od mojego powrotu.
KARA. Kilka przyjaciółek i ja chciałybyśmy — dzień dobry, wuju!

RAVN. Dzień dobry ci dziecko!
KARA. Przechodziłyśmy właśnie i zebrała nas ogromna ochota powiosłować. Czy nie mogłybyśmy dostać łodzi?
JAN. Z przyjemnością, służymy! Prawda, ojciec ma klucz! Zaraz.
RAVN. Otóż i stary!
KARA. Dzień dobry!
KAMPE. Dzień dobry pani! Czy —?
KARA. Czy możemy, Nora Holm, Liza Gran i ja pożyczyć sobie łodzi?
KAMPE. Czy możecie pożyczyć łodzi —? Żeby się wam dobrze romanse czytało?
JAN. Łódź jest na usługi. Przynieś ojcze klucz a ja --
KAMPE. Już ja to załatwię! (*Wychodząc*) Chcecie się tedy rozłożyć w łodzi i czytać —?
KARA. Ależ tu się nic nie zmieniło.
JAN. Zauważyła to pani?
KARA. Żegnam tedy!
JAN. Żegnam panią. Było mi nadzwyczaj miło zobaczyć panią.
KARA. Rzeczywiście? Trudno mi w to uwierzyć, wszak pan się u nas nie pokazuje wcale.—Do widzenia, wuju!
RAVN. Do widzenia! Ale bądźcie ostrożne!
KARA. (*Do Jana*) A Fryderyk tak pana ceni!
KAMPE. (*na dworze*) A więc przecież o romans chodziło! Czyż nie mówiłem?
KARA. (*wybiegając*) Więc one czytają bezemnie!
JAN. (*podążając za nią*) Czy to coś tak bardzo zajmującego?
KAMPE (*na dworze*) Historya ocalenia?
KARA. (*śmiejąc się*) Tak, a w dodatku kobieta ocalająca mężczyznę — na odmianę. Żegnam.
JAN. Żegnam panią (*Zatrzymuje się*).

SCENA III.

JAN. RAVN. Później KAMPE.

RAVN. (*Przystępuje do Jana i klepie go po ramieniu*). I z tak pięknym widokiem przed oczyma, chcesz wystąpić przeciw jej ojcu?

JAN. Nie przeciw niemu! — przeciw jego systemowi. Będę oględny.

RAVN. Ho, ho! — Daj pokój, niech Kara będzie „ową kobietą ocalającą mężczyznę“ a ty bądź nim, Janie!

JAN. Byłoby to niesumiennością. Wiem i mam dowody na to, że tak zwany „nowy system“ kosztuje kraj miliony. Ja sam gruntownie rzecz zbadałem a w każdym razie jestem jedynym, k t ó ry u s t a o t w o r z y. I wuj mi radzi milczeć — i z córką się ożenić? To ma być o wiele lepsze?

RAVN. Wierz mi, nie radziłbym ci, gdyby nie było i dużo lepsze dla sprawy. Wystąpienie przeciw niemu teraz, kiedy nie posiadasz jeszcze żadnego znaczenia, zepsuje wszystko. — Zaczekaj trochę!

JAN. Na co?

RAVN. Na zagranicę, mój drogi! Gdy zagranica wypowie swój sąd o sprawie, przyjmie się on i u nas w jakie dziesięć, dwadzieścia lat! Czekaj, aż zagranica wyładuje swój sąd u nas, spokojnie, razem ze zwojami bawełny, jedwabiu, puchu i innych miękkich rzeczy. Małe narody nie mogą działać z własnej inicyatywy.

JAN. A system jednak przyjęto!

RAVN. Dlaczego? Bo zagraniczni inżynierowie pierwotnie zalecali go rzeczywiście — powodowani zdaniem tutejszego kolegi.

KAMPE. (*wchodzi*) Co? jeszczeście nie skończyli? Przynajmniej dam wam coś na orzeźwienie. Właśnie znalazłem doskonałą flachę. (*Zwraca się ku wyjściu*).

JAN. Ojcze!

KAMPE. Cicho, chłopcze! (*Wychodzi*).

RAVN. Wierz mi, próbowałem wszystkiego. Daremny trud.

JAN. Hm!

RAVN. Więc i ty chcesz próbować? Ha! Wróciłeś do do domu z rozmaitemi złudzeniami. Znam to i ja. Dawne to czasy. — Weź sobie przykład z ojca. W sprawach dotyczących kolei jest bezwarunkowo najzdolniejszy z nas wszystkich — najwięcej też zrobił...

JAN. I ja jestem tego zdania. Podziw we mnie wzbudza.

RAVN. Tak, ale „nie miał powodzenia“ nazywało się to, A dlaczego? Dlatego, że podobnie, jak ty rozpoczął od mówienia prawdy, zupełnie jak ty! W końcu nabrał upodobania w trunkach — oto wszystko, do czego doszedł.

JAN. Cyt, proszę —

KAMPE. (*wraca*) Oto flacha! Siadajcie! Nie bądźcie sprzekami. Taka flacha potrafi i małym stosunkom dodać barwy; tak, może je nawet zamienić w duże. Zdrowie! (*Pije; Ravn również, Jan spogląda na morze*).

KAMPE. On patrzy na czytelniczki romansów.

RAVN. Byłeś taki dla niej niegrzeczny.

KAMPE. Hm — przyszło mi na myśl, że one czytują romanse, wciąż czytują o odwadze, zapale itd. a same są takie słabe, bezwolne.

RAVN. To mnie wcale nie dziwi. Żyją przecież w takich stosunkach, że nic w nich się nie rozbudza nawet opozycyi żadnej.

JAN. (*przerywając*) A jednak chyba Kara stanowi wyjątek! Przypominam sobie, gdy dzieckiem będąc, uciekała z domu, jeżeli ojciec żądał od niej czegoś, co ona uważała za niesłuszne. Przychodziła wtedy do mnie i musiałem ją wozić po morzu.

KAMPE. Prawda, i ja to pamiętam!

RAVN (*biorąc laskę*). Kara posiada najwięcej naszej krwi. Ale wychowanie, stosunki — ; ha, poznaj się i z nią bliżej! Wydaj swoją książkę! Bądź zdrów! (*Wyciąga ku niemu rękę*).

JAN (*nie biorąc jej*). Mówiąc o mojej książce, zapomina wuj zawsze o jednym czynniku a mianowicie o Radzie państwa.

RAVN. O Radzie państwa? — nie, nie zapominam. Przecież sam jestem jednym z posłów.

JAN. Sprawę tak dokładnie wyłożę. —

RAVN. A więc bądź zdrów, kochany Janku! Dzięki, żeś zwrócił się do mnie o radę!

JAN. I stanęło na — ?

RAVN. Bezwarunkowo.
KAMPE. Może pozwolisz jeszcze —
RAVN. Nie, dziękuję. Bądź zdrów!
KAMPE. Bywaj mi!
RAVN. (*do Jana, który go odprowadza*). A ojciec? Gdy twoja książka wyjdzie, wszyscy będą przypuszczali, że on ci dostarczył obliczeń i straci posadę.
JAN. Właśnie o tem pomówię z nim teraz
RAVN. Dobrze! Bądź zdrów! (*Odchodzi*).

SCENA IV.

KAMPE. JAN.

KAMPE. No? — jakże ci się wydawał?
JAN. Co za zgorzkniałość!
KAMPE. Tak, wielu tu mamy podobnych do niego.
JAN. I to on! taki szczery entuzyasta — jak wszyscy nasi krewni!
KAMPE. Wiem ja, u kaduka, jak się u nas powodzi entuzyastom! Wszyscy w końcu robią się tacy, jak ten. Tak. Tak! (*Pije*). Co robić!
JAN. Ojcze!
KAMPE. Cóż?
JAN. Daj spokój!
KAMPE. Czemu?
JAN. Temu.
KAMPE (*pije znowu*). Terefere, chłopcze! Ze mną już niema co zaczynać. Nie cierpię szumnych frazesów.
JAN. Ale ja cię proszę!
KAMPE. Ani słowa o t e m więcej! Mówmy raczej o tobie! Sam na sobie doświadczysz — powiedział ci. A jednak nie wypływa z tego, abyś miał wszystkiego zaniechać. Jeżeli nie zaczniemy tu znów głosić prawdy bez ogródek, każdy w swojej dziedzinie, to nie postąpimy ani kroku naprzód. To m ó j system.
JAN. Który już jest dość stary.
KAMPE. Ale zawsze pozostanie nowym. Zawsze prawdą! Niech się dzieje, co chce. Czy wiesz, po kim dostałeś imię?

JAN. Nie wiem.

KAMPE. Słuchaj tedy. Jak wiesz, przez ożenienie się, wszedłem w lepszą rodzinę twojej matki. Było mi wśród nich trochę obco. Rodzina wpływała też na twoją matkę i nie zawsze tak między nami było, jak być powinno. Kiedy mi to zanadto dokuczyło, wyprawiałem się na polowanie. Towarzyszem moim był stary komornik Jan, najzacniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Po nim dałem ci imię. Zaprosiłem go na twoje chrzciny, wzniosłem jego zdrowie — skandal! pysznie się ubawiłem! — Kiedyśmy wśród jesiennego wichru uganiali po nagich skałach za reniferemi, nie ustępując, pókiśmy ich nie wzięli na cel, mawiał zawsze: Prosto w cel, chłopcze! I ja ci to samo powiadam.

JAN. Ja wcale nie mam zamiaru strzelać, ojcze.

KAMPE. Nazwij to sobie, jak chcesz, ale sztandar trzymaj wysoko! Tego ja zaniedbałem! Zresztą dość już o tem! (*Pije*).

JAN. Ale ja nie mogę sztandaru trzymać wysoko, bo wcale nie zamierzam wojować.

KAMPE. Cóż to ma znaczyć? Czy jego krakanie cię nastraszyło?

JAN. Nie, ale przestraszasz mnie ty, ojcze.

KAMPE. Ja? — Hm — myślisz o przykładzie, jaki ci daję? — Nie kłopocz się, Jasiu! — Nie masz żony, nie utkniesz na tem, na czem ja się potknąłem. — Zresztą tylko bez frazesów! Co mi masz do zarzucenia?

JAN. Ojcze!

KAMPE. Terefere! Dopomogłem ci się wykształcić. — Naturalnie ku mojemu zadowoleniu przedewszystkiem. — Ty robisz swoje, ja znowu swoje — (*chwyta kieliszek*) — a że wieczorem przed pójściem spać trochę sobie zaprószę głowę — cóż tobie do tego?

JAN. Dobrze — więc i ja sobie też zaprószę (*chwyta kieliszek i pije*).

KAMPE. Ty! Jasiu?

JAN. Tak, wróciłem z Ameryki z postanowieniem dzielenia z tobą życia w zupełności.

KAMPE. Chcesz, jak ja —? (*urywa*).
JAN. Jak ty, ojcze, co dzień kłaść się do łóżka pijanym.
KAMPE. Tego ci zakazuję! — Żadnych niewczesnych żartów, Jasiu! Napędziłeś mi niemałego stracha.
JAN. Ale jeżelibym się chciał zabrać do czego a ty, ojcze, będziesz żył jak dotąd, jakież mógłbym mieć widoki powodzenia?
KAMPE. Czegóż, u licha, właściwie chcesz odemnie?
JAN. I oto pytasz się ty, ojcze, który mnie zachęcasz do przeprowadzenia reformy? Cóż ludzie na to powiedzą? Jemu bawić się w reformatora! Niechaj zacznie od własnego domu.
KAMPE. Tak powiedzą —?
JAN. Nie znasz to naszych stosunków? Odrazu podniosą zarzut, iż nie jestem osobą, budzącą zaufanie, jako syn *urywa*) —
KAMPE. Pijaka. Powiedz szczerze! — Niema co obwijać w bawełnę. Musisz się z tem pogodzić.
JAN. Pogodzić się? Nigdy. Żeby mój ojciec miał złą opinię — na to nie zezwolę.
KAMPE. To sprawy nie pogorszy wcale. Posłuchaj mnie, Jasiu, jeżeli matka twoja nie zdołała —? Daj temu spokój. — Myślisz, że ja sam nie próbowałem? Boże drogi!
JAN. Póki nie próbowałeś wejść w nowe, samoistne stosunki, któreby cię zupełnie zaabsorbowały, póty nie próbowałeś.
KAMPE. Cóż to ma znaczyć?
JAN. Wiesz, że objąłem agencyę największych fabryk maszyn w Anglii i Ameryce?
KAMPE. Wiem i bynajmniej rad nie jestem z tego. Jesteś stworzony do czegoś większego.
JAN. Uczyniłem to ze względu na ciebie, ojcze.
KAMPE. Na mnie?
JAN. Ty będziesz prowadził interes; będziemy stanowili firmę „Kampe i syn.“ Nie opuszczę cię, ojcze, ani na dzień jeden; przysięgam na pamięć nieboszczki matki!

KAMPE. Janku mój! —Ale to niemożliwe. — Nie chcę abyś przezemnie psuł sobie przyszłość.

JAN. Psuł? Bynajmniej, — jeżeli jaka droga miałaby mnie do czegoś wyższego doprowadzić, to tylko ta. Wierzaj mi, ojcze.

KAMPE. Janku drogi! — Jakto dobrze, żeś wrócił! — Ależ to niedorzeczność, fantazye niedościgłe! Ja cię zawiodę. Znam siebie.

JAN. A ja mimo to nie odstąpię! Ja łatwiej niż mama wciąż mogę być przy tobie.

KAMPE. Byłby to ciężar dla ciebie, Jasiu — a i dla mnie również. — Tak, tak! Opowiedziałbym ci niejedno — ale innym razem! — Uff, ależ to człowieka męczy, muszę — (*podchodzi do stołu*).

JAN. Ojcze!

KAMPE. No widzisz! Tak mi to weszło w naturę, że mimowoli się kieruję. I dla mnie chcesz poświęcić swoją przyszłość? Namyśl się jeszcze głuptaszku — puść mnie (*Znowu podchodzi do stołu*).

JAN. Gdyby mama żyła jeszcze!

KAMPE. Chcesz mi dokuczyć? Czy myślisz, żem zapomniał? (*Zakrywa twarz dłońmi*).

JAN. Nie mogę zrozumieć, jak mogłeś po śmierci mamy —

KAMPE. Milcz wreszcie! — Nie zrozumiesz tego. Właśnie wtedy było najgorzej— — —Ale nie mówmy o tem. Wypraszam sobie wszelkich uwag nikt nie ma prawa—

JAN. Ojcze!

KAMPE. I ty go nie masz. Alboż nie spełniam swoich obowiązków? Wolny czas do mnie należy — Nikomu nie mam obowiązku zdawać rachunku — nikomu!

JAN. Co ci się stało, ojcze?

KAMPE. Nie ścierpię tego! Kto, prócz mnie, może wiedzieć, dlaczego to robię? Konieczne mi jest—ot krótko i węzłowato! To też nikogo nie proszę o pozwolenie. (*Pije*).

JAN. Nie, tego nie wytrzymam!

KAMPE. Gdybyś widział' ile ja dla c i e b i e zniosłem!

JAN. Ojciec — dla mnie?

KAMPE. Powiedziałeś przed chwilą, że zagradzam ci drogę

JAN. Nie.

KAMPE. Tak, sens był taki. Nie masz ochoty być dla mnie pobłażliwym.

JAN. Ależ, ojcze —

KAMPE. Wytłumaczę ci tedy: miałem syna za granicą, dla niego musiałem pracować. A pracę tę uczyniono mi piekłem. Ja, który byłem prawą ręką, zostawałem spychany na coraz niższe stanowisko. Wszystko musiałem znosić, gdyż syn mój raz w raz prosił o pieniądze na jeszcze jeden rok, jeszcze jednę podróż. W kieliszku dobrego wina utopić można dużo trosk i tak doszło do tego. Zrozumiałeś? Ty więc najmniej masz praw wyrzuty mi czynić. Co ja dla ciebie zniosłem, tego ty dla mnie nigdy nie będziesz znosił. Dlatego milcz! (*Idzie do stołu i siada przed butelką*).

JAN. Jeżeli ojciec będzie jeszcze pił, to ja się stąd wyniosę.

KAMPE. A toś się wybrał! Rozkazów nie słucham żadnych!

JAN. Ja ich też wcale nie wydaję. Ale odejdę sobie.

KAMPE. Odejdziesz? Dokąd?

JAN. W świat, na zawsze!

KAMPE. Jeżeliś zupełnie serca pozbawiony, to sobie jedź!

JAN. Boże mój! więc brakiem serca nazywasz to, gdy nie mogę patrzeć na ciebie w tym stanie?... Wracam do domu, ani przypuszczając nic złego. Ofiaruję ci swoją przyszłość — nie jako ofiarę, obowiązek, czy jak to nazywać, bynajmniej, nigdy nie miałem podobnej myśli! Nigdy nie byłem na nic tak dumny, jak na to, że może mi się uda c i e b i e ojcze, podnieść zupełnie.

KAMPE. Jasiu!

JAN. A ty mnie nawet nie chcesz słuchać, nie wstrzymasz się nawet na tyle, by mi pozwolić wypowiedzieć wszystko! — W takim razie nie mam tu co robić. Dlatego odjeżdżam, ojcze.

KAMPE. Nie rozumiesz mnie. Wzdragam się dlatego, aby się nie okazywać lepszym niż jestem — wolę, byś miał o mnie gorsze wyobrażenie, wtedy nie zrobię ci zawodu.

JAN. Ale czyż nie możesz przynajmniej spróbować?

KAMPE. Boże drogi, przecież wiem, że to daremne! Ach!

JAN. Posłuchaj mnie, ojcze!

KAMPE. Mów.

JAN. Kwartał się skończył — właśnie ojciec złożył rachunki. Proszę się podać o dymisyę. Jeżeli im to będzie nie na rękę, niech sobie ojciec z tego nic nie robi, nie zasłużyli na nic lepszego. Dziś wieczorem się spakujemy a jutro wyjedziemy na miesiąc lub dwa za granicę.

KAMPE. Janku!

JAN. Tymczasem będzie się tu drukowała moja książka. Za powrotem wydamy ją i otworzymy interes. Twoje imię doda mu powagi. Będziemy swoimi własnymi panami, będziemy walczyli o to, w co obaj wierzymy — będziemy pracowali. Cóż ty na to, ojcze?

KAMPE. Ach, co za marzenie! Gdyby to było możliwe, Jasiu, ach!

JAN. Nie chciałbyś, co?

KAMPE. I pytasz jeszcze?!... Ale upadłem zbyt nizko.

JAN. Trzebaby najpierw urządzić próbę. Jest jeszcze w tobie dużo sił, ojcze.

KAMPE. Tak myślisz?

JAN. Tylko prędko wyrwać się z tego wszystkiego.

KAMPE. Gdybym tylko mógł zaufać sobie samemu! —

JAN. Przecież dla ciebie, ojcze, będzie pewną otuchą świadomość, że tym, który wywoła przewrót, będzie nie kto inny. tylko ty sam, z czasów twojej młodości. Dobrze? chcesz więc?

KAMPE. Czy chcę — ? Ale nie ufam sobie; nie wytrwam — wiem dobrze.

JAN. Ale wciąż będziemy razem.

KAMPE. Ach, gdyby to — !

GŁOS OD STRONY MORZA: Ratunku! Tu, tu!

OBAJ. Z morza?

JAN. Ktoś z kąpiących się!

GŁOS. Ratunku.

KAMPE. Topi się!

JAN. Płynie łódź jakaś! Nie, wiosłują dalej! (*Wybiega*).

KAMPE. (*za nim*) Nasze panie! Przybijają do brzegu! Nie mówiłem? (*Na dworze*) Dawać tu łódź! Tu, tu! — Nie wywróćcie! W takt! W takt!
GŁOS. Ratunku!
KAMPE (*na dworze*). Już, już!

SCENA V.

KARA RIIS, NORA HOLM, LIZA GRAN wchodzą wystraszone z lewej strony. KARA niespokojnie biega wciąż po scenie.

NORA. Widzisz go? — Ja się boję spojrzeć.
LIZA. Nie, zanurzył się.
TAMTE DWIE. Zanurzył się!
KARA. Powinnyśmy go były ratować!
NORA (*łkając*) Ależ nie mogłyśmy przecież, Karo —
KARA. To niegodziwie, niegodziwie, niegodziwie! Póki żyć będę, nie zaznam spokoju. — Czy go już rzeczywiście nie widzisz?
LIZA. Nie widzę.
NORA. Tonący zwykli się wynurzać dwa razy.
LIZA. Ale on ugrząsł.
KARA. Prawda. O, tak — Łódź nie podpływa?
LIZA. Płynie!
NORA. Płynie!
KARA. Chwała Bogu!
LIZA. Właśnie w tem miejscu, gdzie się przewrócił!
NORA. O, stary wskakuje!
KARA. Oh! — — — (*pauza*).
NORA. (*szeptem*) Tak długo bawi pod wodą!
LIZA. Otóż jest!
KARA. (*zbliża się do okna*). Znalazł go? Znalazł!
LIZA. Teraz chwyta łódź.
WSZYSTKIE wydają okrzyk i tulą się do siebie.
NORA. Przechyla się!
LIZA. Nie, sam ją puszcza.
KARA. Trzyma topielca —

NORA. Stary wynurza się po drugiej stronie.
LIZA. Nadnosi go w górę.
KARA. Ach, już go Jan ma w łodzi! (*Odchodzi od okna*). Bogu niechaj będą dzięki i chwała! (*Wybucha spazmatycznym płaczem*).
NORA. A co ludzi się zebrało! Gdzież się podziejemy? Tam nie możemy iść. Cóż poczniemy z sobą?
LIZA. Ależ Karo, uspokój się!
KARA. Ach, ach, ach!
NORA. Uciekajmy! — Ale w którą stronę?
LIZA. Karo, droga Karo! (*Wybiegają na lewo*)

SCENA VI.

Po chwili wchodzi KAMPE bez butów, w ciemnych, mokrych sukniach, z włosami zlepionymi z prawej strony i szybko dąży ku drzwiom na lewo. Tuż za nim JAN.

JAN. (*jeszcze na dworze*) Ojcze, zatrzymaj się!
KAMPE. Tylko się przebiorę.
JAN. O, zaczekaj! (*Wchodzi żywo*) — To o czem mówiliśmy poprzednio—przyrzeknij mi teraz! (*Obejmuje go*)
KAMPE. Pomoczysz się, chłopcze!
JAN. Ale przyrzekasz, staruszku, co?
KAMPE. Spróbuję.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Pracownia w domu naczelnego dyrektora (*nad brzegiem morza*).

SCENA I.

RIIS. PANI RIISOWA. FRYDERYK.

RIIS (*przy dużem biurku na środku pokoju. Porządkuje papiery i mapy, z których część wkłada do podróżnej torby. Od czasu do czasu szuka czegoś w dużej szafie z szufladami na lewo.*) W życiu nie zawsze tak się dzieje jak w książkach i młodzieńczych marzeniach. I tak naprzykład rzadko zawierają się małżeństwa z miłości.

RIISOWA. (*z robótką w ręce*) Mężusiu, myśmy się przecież pobrali z miłości.

RIIS. My, kochana, za starzy jesteśmy już, by mówić o miłości.

RIISOWA. Za starzy? Czyż można być za starym, aby mówić o miłości. Odczuwać ją — to co innego. (*Ociera oczy*).

RIIS. (*do Fryderyka*) Jeżeli dziewczyna wyjedzie, jestem przekonany, że historya tem samem się skończy. — Wszystko to można uważać za małe wykolejenie się

FRYDERYK. (*stoi przed ojcem, napół odwrócony od niego, z wielką linią biurową w ręku*). Właściwie nie miałem pojęcia, jak bardzo ją kocham. Teraz, gdy ma wyjechać, doświadczam uczucia, jak gdyby to było nad moje siły znieść.

RIIS. Wszystkim się to zdarza —

RIISOWA. Nie, mężu, tego przecież nie możesz twierdzić.

RIIS. Nie mówię o nas, kochanie; — w życiu tkwi jakaś siła porządku, która nas zawraca, ilekroć wejdziemy na fałszywą drogę. Stosunki, wzajemne względy... Czy sądzisz, że ja doszedłbym do tego stanowiska, gdybym chciał folgować swoim popędom?

RIISOWA. Ależ popędy przecież musi się posiadać — popęd do wszystkiego, co dobre.

RIIS. Słusznie, drogie dziecię — a dla Fryderyka dobrem jest jego przyszłość. On musi myśleć o swojej przyszłości. Społeczne stanowisko ojca pomoże mu wznieść się na kilka stopni, — dalej musi się już sam pchać.

RIISOWA. Szczęście nie zawsze w tem leży, mój drogi.

RIIS. Nie, naturalnie. Ale kto się zaniedbuje, odczuje na własnej skórze. To znaczyłoby nie spełnić swego przeznaczenia.

RIISOWA. Naszem przeznaczeniem, drogi, jest, być zbawionym.

RIIS. Zapewne. Ale przytem nie jest grzechem już tu, na ziemi być o ile możności najszczęśliwszym.

RIISOWA. Nie! Jednak powinniśmy się kierować najlepszymi popędami naszego serca.

RIIS. Matka ma zawsze słuszność. (*Wstaje i przechodzi obok Fryderyka*). Poniżasz się tym stosunkiem, synu.

RIISOWA. Ona musi być uczciwą dziewczyną i właściwie sądzę, że my rodzice nie powinniśmy się sprzeciwiać. Nieprawdaż, mężu?

RIIS. Naturalnie, matce nie powiedziałem nic o — — — Nie zdaje ci się żonusiu, że nierozsądnie byłoby, gdyby się Fryderyk teraz już wiązał —? Serce jego winno być otwarte na wszelkie dobre podszepty.

RIISOWA. Radabym ją poznać.

RIIS. (*który wracając, mija Fryderyka*) Boże miłosierny! — Sądzę, że nie powinniśmy się zbytnio w to mieszać, matuś? Zresztą i tak przecież wyjeżdża.

RIISOWA. Biedaczka! Dokądże jedzie?

RIIS. Do Ameryki, do krewnych.

RIISOWA. Ale jeżeli uczucie Fryderyka jest prawdziwe?

RIIS. Więc niech się wypróbują! Nie zgadzasz się ze mną w tym względzie?
RIISOWA. Najzupełniej. Doświadczaj serca swego — powiedziane jest. Ach, tak!
FRYDERYK. Miałbym ochotę odprowadzić cię, ojcze i pomówić z tobą obszerniej.
RIIS. Dobrze.
FRYDERYK. Pozwalasz? Więc natychmiast się zbiorę.
RIIS. Ale, zdaje mi się, że Holstowie urządzają jakąś wycieczkę? Słyszałem, że zamówiono już parowiec.
RIISOWA. Dla ministra?
RIIS. Tak.
FRYDERYK. Nie mam ochoty —
RIIS. Wziąć udziału w wycieczce? — Ale musisz!
RIISOWA. I ja tak sądzę. Młodzież powinna się bawić. Później przychodzą rozmaite kłopoty.
RIIS. A propos zabaw — kiedyż damy obiad dla inżynierów?
RIISOWA. Właśnie przyszłam do ciebie pomówić o tem — i w innej jeszcze sprawie. Jak długo zabawisz?
RIIS. Myślę, że dziesięć dni — w żadnym razie nie więcej nad dwanaście. A możeby tak od piątku za dwa tygodnie? Pomyślmy nad tem, byłoby ośmnastego.
RIISOWA. Mówiłam wczoraj z Holstową w bazarze —
RIIS. Z żoną ministra?
RIISOWA. Tak, z Magdą. Cała rodzina w ten dzień wybiera się do komunii -- właśnie ośmnastego. Możebyśmy także to samo zrobili?
RIIS. Doskonały pomysł! Rozumie się! mam nadzieję, że dzieci z nami?
RIISOWA. Bezwątpienia. To tak pięknie, gdy rodzice z dorosłemi dziećmi przystępują do Stołu Pańskiego!
RIIS. A zatem pamiętaj, Fryderyku, od piątku za dwa tygodnie.
FRYDERYK (*milczy*).
RIIS. A przyjęcie?
RIISOWA. Myślę, że na kilka dni przedtem. Może we środę? W piątek nic by nas już nie rozstrajało.

RIIS. Znakomicie! — W takim razie wszystko przygotuje się w mojej nieobecności.

RIISOWA. Właśnie tak myślałam zarządzić.

RIIS. Niezrównana z ciebie gosposia, Kammo! — Naczelnika biura jakoś nie widać! (*spogląda na zegarek*) No, jeszcze wcześnie.

FRYDERYK. A więc mogę jechać?

RIIS. Otwarcie mówiąc, Fryderyku, minister liczy na ciebie na pewno; właśnie przypomniałem sobie.

FRYDERYK. Więc była o mnie mowa?

RIIS. Tak. Czy może ktoś inny jeszcze liczy na ciebie? — Ah jest wreszcie! (*bierze lornetkę*). Trzeba nieco w dal popatrzeć! (*Kładzie ją obok torby*).

FRYDERYK. W każdym razie zobaczymy się na dworcu.

RIIS. Dobrze, dobrze! (*Fryderyk wychodzi*).

RIISOWA. Mężusiu, chciałam przedewszystkiem pomówić z tobą o Karze.

RIIS. Nie było jej tu jeszcze dziś? Czyż znowu słaba?

RIISOWA. Tak. Nie zauważyłeś? Zupełnie jak wtedy— blada, nie chce jeść, nie sypia.

RIIS. Znowu? Myślałem, że to już przeszło.

RIISOWA. Przeszło też.

RIIS. A cóż jej znowu teraz brakuje?

RIISOWA. Nie wiem. Nic nie mówi. Możebyś ty z nią porozmawiał?

RIIS. Dobrze. Przyprowadź ją tu!

RIISOWA. Tego chciałam właśnie. (*Zwraca się ku wyjściu*).

RIIS. Powiedz mi, Kammo, — przecież nie spotkała się z Janem Kampe? Wrócili już obaj, syn i ojciec; widzę, że ogłaszają się teraz: „Kampe i syn“. Mówiła co o nich?

RIISOWA. Nie.

RIIS. Więc bądź łaskawa ją przyprowadzić. (*Riisowa odchodzi*).

SCENA II.

RIIS. SŁUŻĄCY z listem i dwoma pakietami, które wręcza.

RIIS. Ta jedna przesyłka jest dla panienki.
SŁUŻĄCY. Była też i dla pana inżyniera, ale sobie już odebrał.
RIIS. Pakiet dla panienki możesz zresztą tu położyć. Czy zniesiono kufer?
SŁUŻĄCY. Tak.
RIIS. (*patrząc na zegarek*). Za pół godziny niech zajedzie a wtedy proszę tę torbę zabrać. (*Służący odchodzi*).

SCENA III.

RIIS. RIISOWA. KARA.

RIIS. Jakże się masz, dziecko?
KARA. (*wspiera głowę na jego ramieniu*).
RIIS. Wciąż jeszcze ta sama historya o —? Ta niedorzeczna awantura z mężczyzną tonącym?
KARA (*ukrywa twarz na jego piersi*).
RIIS. Przecież nikt w mieście o tem nie wie!
KARA. Mnie się zdaje, że całe miasto nie mówi o niczem innem.
RIIS. Miejże rozum! — Będziesz ze mną szczerą?
KARA. Będę.
RIIS. Czy Jan Kampe powiedział ci co, wskakując w łódź?
KARA. Nie.
RIIS. Nie? — Ani słowa?
KARA. (*wstrząsając głową*).
RIIS. Ale przecież —?
KARA. Tylko na mnie popatrzał (*Znów kryje twarz*).
RIIS. (*spogląda na żonę*) Czyś go teraz — po powrocie — spotkała?
RIISOWA. Wczoraj spotkałam się ze starym, rzeczyczywiście dobrze wygląda.

RIIS. Nie o niego mi chodzi. Z Jarem się nie spotkałaś? (*Kara odwraca się*). Czy znów na ciebie tak popatrzał? Z wyrzutem, co? (*Ona się odsuwa*) Strasznie! — Słuchaj, dziecko moje! Ja także przecież posiadam nieco taktu. Stanowisko moje tego wymaga. I ja mogę też sądzić podobny fakt — może lepiej od panów Kampe i syn. A upewniam cię (mogę śmiało rzec w imieniu lepszej części społeczeństwa), że trzy młode panny nie mogły w tym wypadku nic innego uczynić, jak możliwie najprędzej dopłynąć do brzegu, by wezwać pomocy. A tak właśnie postąpiłyście.

KARA. A gdyby był utonął —

RIIS. Bo, gdyby —!

KARA. Lekarz całe pół godziny musiał go trzeźwić.

RIIS. A gdyby nawet był utonął? czyjażby to wina była? Jego własna tylko. Nie możemy — a już najmniej młode dziewczęta — ratować każdego, kto w naszych oczach znajdzie się w niebezpieczeństwie, na lądzie czy morzu.

KARA. Myślałam nad tem niezliczone razy! Ach, przez ten cały miesiąc zastanawiałam się dużo i doszłam —

RIIS. Otóż to mamy! „Doszła!“

RIISOWA. Może to Opatrzność zesłała ci to zastanowienie ku rozbudzeniu twojemu, Karo!

KARA. Tak, beznadziei zbudziłam się i poznałam, jaka jestem do niczego, bezużyteczna!

RIIS. Patrzcie! patrzcie! Jakież przezabawne rzeczy zdolen jest wytworzyć mózg chory! Powinnaś codziennie odbywać przejażdżkę konną. Przeszłym razem ci posłużyło. Spróbuj znowu — Do niczego, bezużyteczna ty, Karo? Ty, która byłaś najzdolniejszą między koleżankami? Wszyscy nauczyciele twoi to utrzymywali.

KARA. Pomyśl, ojcze czy spotkałeś dzielnego człowieka, któryby był wstydliwy? Nie, tylko my do niczego, bezużyteczne stworzenia jesteśmy lękliwe i wstydliwe. My, które tylko czujemy, marzymy, i — o, jakżeż w nas nic prawdy niema.

RIIS. Aha! I to także!

RIISOWA. Ma pewną słuszność, mężu!
RIIS. Naturalnie!
RIISOWA. Rzeczywiście mamy tyle ideałów i tym podobnych a przecież właściwie nic w nas niema.
KARA. Prawda, prawda! Tak jest, jak mama mówi.
RIIS. Naturalnie, że tak jest, jak mama mówi, gdyż z waryackiej rodziny twojej mamy przejęłaś to wszystko. Już zaczynam tracić cierpliwość!
RIISOWA. Zawsze ganisz moją rodzinę.
RIIS. No, no, posiada ona dużo dobrych stron. Przecież mi ciebie dała. Ale posłuchaj mnie, Karo, chciałbym przecież jedynie dobra twojego.
RIISOWA. Nie wiem, żeby rodzina moja pragnęła dla ciebie lub dla kogobądź czegoś innego, jak dobra.
RIIS. Rozumie się, bez wątpienia. — Słuchaj mnie, Karo, żebyś też ty zaufała własnemu ojcu! Ja przecież nie mogę cię prowadzić na złe drogi.
RIISOWA. Nie zechcesz chyba twierdzić o mojej rodzinie, żeby ona chciała kogoś sprowadzać na złe drogi?
RIIS. Nie powiedziałem też tego, żonusiu. — Powinniśmy słabości naszej natury zwalczać, to obowiązek każdego człowieka. A słabością w tobie jest, że...
RIISOWA. Nie twierdzisz chyba, że tę słabość odziedziczyła po mojej rodzinie?
RIIS. Ależ bynajmniej!
RIISOWA. Byłoby to bowiem niesprawiedliwością — tyle energii, tyle wiary.
RIIS. Ależ tak!... Nie chcesz ograniczyć się do tego, co ci jest najbliższym obowiązkiem. Stąd rodzą się rozmaite zadania, które twojem zdaniem, powinnaś wypełniać a za tem idzie niezadowolenie, roztrząsanie...
RIISOWA. Bo rzeczywiście tyle jest rzeczy, które powinniśmy robić a nie robimy. To pewna.
RIIS. Bezwątpienia.
RIISOWA. Naprzykład względem ubogich — z nimi wcale tak nie postępujemy, jak nakazuje obowiązek.
RIIS. Ci, którzy stoją na wyżynie społecznej, moje dziecko —

RIISOWA. Bo skoro powiedziane jest, że powinniśmy kochać bliźniego, jak siebie samego —

RIIS. Ci, którzy stoją na wyżynie społecznej, winni się wspierać wzajemnie —

RIISOWA. (*jednocześnie*) — nie wypełniamy tego przykazania. Ach, dalecy jesteśmy od tego!

jednocześnie

RIIS. — a przedewszystkiem dziecko rodzonego ojca.

RIISOWA. Miłości nam brak, miłości!

RIIS. Tak, teraz wyjechała ze swoją, miłością! — Pragnąłbym ci wpoić, Karo, że nie powinnaś tak trzepotać się —

RIISOWA. Żyjemy tylko dla siebie samych, drobną monetą, małemi uczynkami, wykłamujemy się od większych o wiele większych.

RIIS. — trzepotać się, jak nietoperz w półzmroku.

RIISOWA. A to tak przykro (*płacze*) wiedzieć, że człowiek nie może być takim jak powinien.

RIIS. Jeszcze mi płacze!—Ale to niedorzeczność chcieć wszystkim i wszystkiemu na świecie dogodzić!

RIISOWA (*nuci*): Miłość jest słońcem życia!

SCENA IV.

Ciż i FRYDERYK.

FRYDERYK. (*z prawej strony z książką w ręku*) Ojcze!

RIIS. Cóż takiego?

FRYDERYK. Czyś otrzymał także tę książkę?

RIIS. Książkę? — Aha, prawda! otrzymałem jakąś, i Kara również.

FRYDERYK. Co? On był na tyle bezczelny, aby i jej posłać!

KARA. Kto? — Co takiego?

RIIS. (*czyta*) „Jan Kampe, inżynier“

KARA. Jan? — (*bierze swój pakiet i rozwija*).

RIIS (*czyta*). „Uwagi o tak zwanym nowym systemie w —“ A, tak!

FRYDERYK. Przerzuciłem już. Nie masz wyobrażenia, ojcze, co to za niecne dzieło.

RIIS. Ależ to pięknie! W takim razie odda nam wielką przysługę.

FRYDERYK. Nie, to nie to, co myślisz, ojcze. Książka jest grzeczna, pełna uznania, ma cechę rzetelności. Właśnie to najgorsze. W ten sposób, chwaląc cię, mówiąc o tobie z najwyższem uznaniem stara się zwolna pozyskać zaufanie czytelników. I zanim się człowiek spostrzeże, obalono twój system. A potem dalej, zimno, o tak, rozumnie, chłodno oblicza, ile kraj rocznie traci na nim a kończy pięknemi uwagami nad jego moralnym wpływem na inżynierów. Boć przecież muszą pomagać w utrzymaniu tego, w co właściwie nie wierzą, a co da się tylko zrobić przez kosztorysy i pozycye niezbyt z prawdą zgodne.

RIIS. Tak utrzymuje?

FRYDERYK. Cytuje przykłady.

RIIS. Hm, — trzeba je będzie przejrzeć uważnie.

FRYDERYK. I to mój przyjaciel — najlepszy, jakiego posiadałem! Patrzyłem w niego, o Boże — nigdy w życiu tak się nie zawiodłem! W porównaniu z tem wszystko inne to drobnostka.

RIIS. Zawsze ci mówiłem, ilekroć go tak wysławiałeś: jest synem swojego ojca. — Tak bywa w życiu.

FRYDERYK. (*oglądając książkę ze wszystkich stron*) Ach, wszystko jest obrzydliwe, nawet oprawa!

RIIS. Oprawa?

FRYDERYK. Czyż nie spostrzegłeś, że jest oprawna? Wyobraź sobie, ojcze, nam, mnie i Karze przysłał oprawne egzemplarze. Jak gdyby to było coś takiego, co należałoby przechować!

RIIS. Zastanowiwszy się nad tem, widzę, że masz słuszność.

FRYDERYK. I mnie i Karze coś podobnego wyrządzić — cóżeśmy mu uczynili? — I tobie, ojcze, któryś jego ojcaszka, pijaka trzymał, chociaż wywoływał publiczne zgorszenie.

RIISOWA. W urzędzie był nieskazitelny, Fryderyku! Nie powinniśmy gorzej mówić o naszych bliźnich, niż—

FRYDERYK. Niech go mama nie usiłuje bronić.

RIISOWA. A jednak, Fryderyku, trzeba i wrogów naszych miłować.

FRYDERYK. Nie mogę słuchać podobnych rzeczy! Ale spuśćcie się na mnie, już ja —!

KARA. Fryderyku!

RIIS. (*jednocześnie*) Cyt! cyt! No, Karo! Więc to owo „spojrzenie", które na ciebie rzucił inżynier Jan Kampe, uczyniło cię tak prawdziwą?

KARA. (*ucieka w lewo*).

RIISOWA. Nie należało jej tego mówić.

RIIS. Przeciwnie, właśnie to jej się przyda obecnie.

FRYDERYK. Biedna Kara! — Ale ja —!

RIIS. Słuchaj Fryderyku, tylko żadnych głupstw. Powtarzam ci, co mówiłem przed chwilą: miarkuj swoje popędy! Inaczej nie dojdziesz do celu.

RIISOWA. Ależ popęd do dobrego, mężu?

FRYDERYK. Dobrze ale bez walki nie wyobrażam sobie...

RIIS. Walki? Tego by tylko trzeba! (*Ktoś puka*) Proszę! To naczelnik biura. Nie! walką ich nie zaszczycimy.

SCENA V.

Ciż prócz KARY. Naczelnik biura LARSSEN.

RIIS. Cóż? (*Larssen podaje mu rękę*) I cóż? (*Larssen w ten sam sposób wita się z Riisową*). Cóż? (*Larssen również podaje rękę Frydrykowi*).

LARSSEN. Co pan dyrektor rozkaże?

RIIS. Cóż książka? Co pan powie o tej książce?

LARSSEN. Czy wolno zapytać, o jakiej książce pan dyrektor myśli?

RIIS. O tej naturalnie.

LARSSEN. Czy mogę, prosić pana dyrektora o obejrzerzenie jej?

FRYDERYK. (*żywo*) Ależ naturalnie, książka Jana Kampego o systemie ojca.

LARSSEN. A tak, o niej?
RIIS. Cóż pan o niej powie?
LARSSEN. Nic.
RIIS. Jakto! Nie czytał pan?
FRYDERYK. Nie, on —
LARSSEN (*jednocześnie*). I owszem. — Ale dopiero dwa razy.
RIIS. I w czasie tego dwukrotnego czytania nic pana nie uderzyło?
LARSSEN (*obojętnie*). Nie.
RIIS. Na panu można polegać, Larssenie. Jest w pańskiej wierze w sprawę coś, co człowiekowi dodaje otuchy.
FRYDERYK. Rzeczywiście; to prawda!
LARSSEN. Nie sądzę, aby pan inżynier Jan Kampe mógł mi coś nowego powiedzieć w kwestyi nowego systemu.

RIIS. I ja również nie przypuszczam. O tem ani mnie ani panu nie może powiedzieć nic nowego. Właśnie mówiłem do Fryderyka: tylko bez porywczości, bez walki!
LARSSEN. Ależ na miłość Boską nic podobnego!
RIIS. A widzisz. Ale, ale przyszła mi dobra myśl (*Do pani Riis, która wyszła do pokoju Kary a obecnie właśnie wróciła*). Mieliśmy zamiar nie zapraszać na nasze przyjęcie starego Kampego — teraz właśnie zaprosimy jego wraz z synem.
RIISOWA. Teraz poznaję cię znowu, mężusiu; powinniśmy miłować tych, którzy nas nienawidzą.
LARSSEN. Zupełnie słusznie, łaskawa pani — to znaczy, o ile potrafimy!
FRYDERYK. Hahaha! (*Do siebie*). Nie, ja nie potrafię. (*Chce wybiegnąć w prawo*).
RIIS. Fryderyku!
FRYDERYK. Słucham!
RIIS. Nie zapominaj, że wyjeżdżam.
FRYDERYK. A prawda! (*Patrzy na zegarek*) Teraz

już nie zdążę pieszo na dworzec. Pojadę więc z tobą ojcze, na kolej.

RIIS. Czekają tu na pana rozmaite rzeczy, panie naczelniku. A gdyby pan był tak dobry i odprowadził mnie na dworzec, dałbym panu jeszcze niektóre wskazówki.

LARSSEN. Bardzo to dla mnie zaszczytne.

RIIS (*przewiesza lornetkę i mówi biorąc książkę*). Żebym jej nie zapomniał!

LARSSEN. Lektura podróżna! Hehe — hehe!

RIIS (*otwarłszy książkę*). Są tu obliczenia, które zestawić mógł tylko ktoś, kto z prowadzeniem ksiąg jest dobrze obeznany. Patrzcie! No, no!

FRYDERYK. Pochodzą, rozumie się, od starego! To ich wspólna praca!

RIIS. Przyjrzymy się temu dokładniej. (*Wpycha książkę do torby*). Stary nie próbował chyba w ten sposób czegoś zatuszować — jak myślicie?

LARSSEN. Nie należy nikogo podejrzywać, ale skoro już pan o tem wspomina, przyznam się, że w czasie czytania tej książki przyszło mi na myśl, czy nie byłoby wskazane skontrolować rachunki pana Kampego.

RIISOWA. Ależ, Boże drogi, nie powinniście przecież odrazu najgorsze rzeczy przypuszczać o bliźnim, chociaż może zrobił coś nie tak, jak należy.

FRYDERYK. Mamo, na tem się mama rzeczywiście nie rozumie.

RIIS (*do siebie*). Już samo p o w i e d z e n i e tego znaczy więcej, niż dziesięć mów przeciw książce! Wybornie! — Posłuchaj pan, panie Larssenie—każ pan kilku rewizorom przygotować materyał dla nadzwyczajnej komisyi, w stósownej chwili możemy o nią wnieść podanie... Ale cichutko! Byłoby przecież zbrodnią wobec człowieka, nieprawdaż?

LARSSEN. Stanie się, panie dyrektorze!

RIISOWA. Ale bez rozgłosu, masz słuszność.

RIIS. A zatem pa, moje złotko! Bywaj mi zdrowa!

RIISOWA. Ach mężusiu, taki dobry jesteś, czyż przed

odjazdem nie powiesz Karze jakiegoś lepszego słowa? Ona...

RIIS. Nie, dalibóg, że nie! Ma czas do zastanowienia się co to znaczy innym więcej ufać niż własnemu ojcu.— Tak, kochanie! (*Całuje ją*). Bądź zdrowa! Nie płacz! (*Fryderyk bierze jego torbę i parasol. Larssen czeka u drzwi, nie chcąc wyjść pierwszy*).

RIIS. Proszę!

LARSSEN. Nie, pan najpierw, panie dyrektorze!

RIIS. Cóż pan sobie myśli? W moim własnym domu!

LARSEN. Zbytek łaski (*do Riisowej, której podaje rękę*). Padam do nóg pani dobrodziejce!

RIISOWA. Wychodzę z panami.

LARSSEN. O, proszę!

RIISOWA. Larssenie, tylko proszę pamiętać bez rozgłosu!

RIIS. Ależ rozumie się, kochanie! — pozwoli pan cygarko?

LARSSEN. Ach, dziękuję!

RIIS. A ty, Fryderyku?

FRYDERYK. Nie gardzę nigdy twojemi cygarami ojcze!

RIIS. Hultaju, już dziś zaglądałeś do puszki, zaraz spostrzegłem!

LARSSEN. Hehe — Hehe!

RIISOWA. (*z wyrzutem*) Fryderyku!

RIIS. Zostańcie tu wszyscy z Bogiem! (*Wychodzą*)

ODSŁONA.

Pokój u Kampego jak w akcie pierwszym.

SCENA VI.

JAN KAMPE pracuje. Wchodzi KAROL RAVN.

KAROL. Pan u siebie? -- Czy mogę panu podziękować?

JAN. Więc pan czytał książkę?

KAROL. Czym czytał! Wziałem ją z sobą wczoraj do Koła inżynierów. Kilku młodych członków umówiło się tam zejść. Przeczytałem im głośno.

JAN. No i?

KAROL. Siedzieliśmy do drugiej w nocy. Nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego.

JAN. Rzeczywiście?

KAROL. Zna pan zapewne to uczucie, gdy pewną liczbę osób przytłacza jakieś niejasne przeczucie fałszu a wtem ktoś podniesie się i wyrazi słowami ową wątpliwość? Ach, weszła w nas taka otucha, jakgdybyśmy byli w stanie cały świat zreformować.

JAN. Jakże mnie to cieszy!

KAROL. Na młodych może pan liczyć.

JAN. Istotnie?

KAROL. Co do mnie, ja czuję się do tego zobowiązanym. — Moja żona jest zupełnie tego samego zdania. — Naprawdę,... pan nie zna mojej żony?

JAN. Nie mam przyjemności.

KAROL. Całe przedpołudnie nie mówiliśmy o niczem innem. M u s i a ł e m do pana pospieszyć.

JAN. Dzięki. Gdyby pan wiedział, jak mnie to cieszy! Pan jesteś pierwszy, który mi przyniósł wieść o mojej książce, prawdziwa jaskółka. —

KAROL. Należąca do gatunku kruków*) hahaha!

JAN. Ah, przypomniało mi się coś. J e d n a k nie jest pan pierwszy. Ktoś czytał ją przed wydaniem jeszcze a mianowicie pański stryj Fryderyk Ravn.

KAROL. I zapewne odradzał panu jej wydanie?

JAN. Stanowczo. Nie ufa inżynierom, nawet najmłodszym.

KAROL. Naturalnie! On w nikogo nie wierzy! Ale czy pan wie? Muszę panu powiedzieć. —

JAN. Cóż takiego?

KAROL. Odkryłem to zupełnie przypadkowo, więc nie jestem obowiązany do dyskrecyi. Dotąd nie powiedziałem tego żywej duszy — z wyjątkiem mojej żony, gdyż jej mówię wszystko —

JAN. Zaciekawia mnie pan rzeczywiście.

KAROL. Właściwie stryj Fryderyk winien, że „nowy system“ swojego czasu wprowadzono do nas. On to wychwalał go po zagranicznych pismach.

---

*) Ravn znaczy kruk.

JAN. Stary Ravn? Fryderyk Ravn? Inspektor kanalizacyi?
KAROL. Tak. Niech go pan tytułuje, jak się panu podoba, on to był właśnie!
JAN. Te świetne artykuły, któreśmy czytywali na politechnice po angielskich i niemieckich pismach. —
KAROL. I na któreście tam, za granicą byli tacy dumni?
JAN. Tak, że wreszcie coś nowego wyszło i z naszego kraju. —
KAROL. Ha, to były jego elaboraty!
JAN. Zdaje mi się, że tego nie wie nawet mój ojciec.
KAROL. Nie, bo to tajemnica jego życia. Ta pomyłka go złamała.
JAN. Ale taka otwarta głowa! Jakże on mógł —
KAROL. Ba, jak mógł —? Ci entuzyaści nie zawsze szczęście przynoszą krajowi. Wielkim społeczeństwom chyba ale w małych, gdzie niema silnych prądów, rzucają się na marzenia i niedojrzałe projekty — coś bowiem działać muszą.
JAN. I *pan* to mówi?
KAROL. Tak. Ja mam żonę, ona mnie ocaliła!
JAN. Ale przecież pochodzi z tej samej rodziny?
KAROL. Krzyżowanie się — widzi pan krzyżowanie! Pan nie zna mojej teściowej!
JAN. Nie mam przyjemności.
KAROL. Ciekawa kobieta. Możeby nas pan kiedy odwiedził?
JAN. W najbliższym czasie.
KAROL. Dziękuję, przyjdź pan jutro wieczorem, dobrze? Zaproszę kilku młodych inżynierów.
JAN. Dzięki, będę służył. (*Ściskają się za ręce*).
KAROL. Muszę już odejść. Tyle mam zajęcia!
JAN. Nigdy nie zapomnę tych odwiedzin!
KAROL. Była to potrzeba mojego serca! (*Zwraca się ku wyjściu*). Podobnie jak teraz czuję potrzebę zasiąść do pisania.
JAN. Ale naczelny dyrektor jest przecież spokrewniony z panem?

KAROL. Jeden powód więcej (*Wraca*). On przecież od rodziny naszej pierwotnie uzyskał pomoc, która spowodowała całe to nieszczęście.

JAN. Jakże się to stało? gdyż większych kontrastów —?

KAROL. No, musimy błąd naprawić. I to się stanie.

JAN. Dziękuję.

KAROL. Zapominam zupełnie, że czas uchodzi, tak mi tu dobrze, a tyle roboty na mnie czeka! (*Chce wybiegnąć i znów przystaje*). Ale muszę panu jeszcze opowiedzieć, co moja żona powiedziała: Trudniej jest w małem społeczeństwie, takiem jak nasze, mówić prawdę, niż w dużem" — Uznaje pan to również?

JAN. Bezwarunkowo.

KAROL. A jednocześnie ma pan zaufanie do małych społeczeństw...? Ach, ale ja naprawdę nie mam czasu! Przyjdź pan więc i pomów o tem z moją żoną. To jest o n a niewiele mówi. Prawdopopodobnie dlatego, że jej matka mówi za dużo. Tak — i ja również! Ale to nie dlatego! Hahaha! Do widzenia! (*Wybiega szybko i we drzwiach spotyka się z Kampem*). Dzień dobry, staruszku!

KAMPE. Już pan odchodzi?

KAROL. Nie mam ani minutki czasu! (*Wychodzi*)

SCENA VII.

KAMPE. JAN.

JAN. Gdyby tu w kraju było wielu takich dzielnych ludzi, możebyśmy nakoniec r z e c z y w i ś c i e dojść mogli do nowego systemu.

KAMPE. Tak, to niezwykle dzielny chłopak. — Ale przyszedłem głównie dlatego, że spostrzegłem idącego tu Fryderyka Riisa. Przejdź do tamtego pokoju, pozwól mi go przyjąć. Posiadam bowiem niezrównany talent mówienia drugim grubjaństw i słuchania ich wzamian.

JAN. Skoro mnie szuka, niech mnie znajdzie.

KAMPE. Chciałbyś się rzeczywiście narazić?
JAN. Fryderyk jest bardzo wrażliwy —!
KAMPE. I jest taki gorączka.
JAN. Wolałbym był naturalnie, gdyby nie był przyszedł tak prędko. Ale niech się to już raz stanie.
KAMPE. Jak wolisz.

SCENA VIII.

C i ż. FRYDERYK RIIS wchodzi z prawej strony bez powitania.

KAMPE. Dzień dobry!
FRYDERYK (*nie odpowiada*).
KAMPE. Niezwykle grzeczny młodzian! — Jakże się pan miewa? A pański ojciec, jakże się ma?
FRYDERYK (*do Jana*). Chciałbym z tobą pomówić.
KAMPE. Nadzwyczaj grzeczny młodzieniec!
JAN. Daj pokój żartom, ojcze!
KAMPE. Żebyś ty wiedział, co ja od nich znieść musiałem!
JAN. Ale teraz, proszę cię, ojcze, zostaw nas samych!
KAMPE. Dobrze. — Do widzenia! (*wychodzi w drzwi na prawo*).
FRYDERYK. Może się mnie nie spodziewałeś?
JAN. I owszem; ale wolałbym, gdybyś był przyszedł nie tak rychło.
FRYDERYK. Gdybym nie musiał był odprowadzać ojca na kolej, byłbym tu jeszcze wcześniej.
JAN. Lepiej było zastanowić się nad tem, co napisałem.
FRYDERYK. Nie wyobrażasz sobie chyba, że mnie możesz przekonać, iż mój ojciec jest oszustem?
JAN. O tem niema nic w mojej książce.
FRYDERYK. Właśnie, że jest.
JAN. Nie.
FRYDERYK. To jest główna myśl. Ale przekonałeś mnie o czemś innem — a mianowicie przekonałeś mnie, coś ty za człowiek i jak strasznie, tak, jak strasznie zawiodłem się na tobie.

JAN. Przychodziło mi na myśl, że ty tak to zrozumiesz.

FRYDERYK. Tak? Ale nie uważałeś za stósowne dać mi jakiekolwiek wyjaśnienie.

JAN. Miałem przyczynę.

FRYDERYK. Nie wątpię. Zdajesz się być bardziej obyty z chłodną sztuką wyrachowania, niż przypuszczałem.

JAN. Pojmuję, że cię to boli i dlatego zniosę niejedno.

FRYDERYK. Kto nie ma serca, temu łatwo znosić wiele. — Ach, żeś też mógł to uczynić, nam, którzyśmy ci nigdy nie wyrządzili krzywdy! Mnie, tak, mnie, który cię kochałem od dziecka i zawsze, prócz ostatnich trzech lat pobytu twego za granicą — zawsze byłem twoim wiernym towarzyszem! Jakże się cieszyłem na twój powrót! Nie raz, setki razy prosiłem ojca, aby ci zaraz dał posadę, tobie, zdolniejszemu od nas wszystkich razem,

JAN. Dzięki ci, Fryderyku!

FRYDERYK. A ty wracasz, nie chcesz przyjąć żadnej posady, nie witasz się niemal z nami, trzymasz się zupełnie z daleka — i wreszcie posyłasz nam tę książkę, którą chyba musiałeś mieć gotową przed wyjazdem.

JAN. Rzeczywiście miałem.

FRYDERYK. Na podstawie uwag i obliczeń twego ojca?

JAN. Na podstawie wszystkiego, co ogłoszono publicznie.

FRYDERYK. I na podstawie tego, coś się dowiedział prywatnie?

JAN. I to zużytkowałem.

FRYDERYK. Przysłałeś nam książkę bez słowa przygotowania — ojcu, siostrze i mnie. Przykro mi najbardziej ze względu na siostrę. Ani u mnie ani u ojca nie próbowałeś zasięgnąć informacyj.

JAN. Pozwolisz mi odpowiedzieć?

FRYDERYK. Gdybyś był widział Karę! Sądzę, że wtedy dopiero poznałbyś, coś uczynił.

JAN. Fryderyku!

FRYDERYK. Czyż mogłeś bodaj na chwilę zapomnieć, że jej sprawisz największą przykrość?

JAN. Myślałem o tem. Powiedziałem sobie, że siostrze, tobie i waszemu ojcu nie będę mógł spojrzeć w oczy zanim tego nie dokonam. Nie mogłem wrócić, nie spełniwszy tego obowiązku — cokolwiek — by mnie to kosztować miało.

FRYDERYK. Ależ czyś ty zupełnie stracił rozum? Czyś kiedykolwiek przypuszczał, że po tem, coś uczynił, któreś z nas będzie mogło z tobą obcować nadal?

JAN. Myślałem, że muszę wam zostawić dość czasu, abyście lepiej zrozumieli zamiar i uznali, iż nie popełniłem nic złego.

FRYDERYK. Ach tylko nie udawaj!

JAN. Uświadomiłem sobie, jak pisałem, kosztowną, nieszczęsną pomyłkę, o której milczeć dłużej byłoby zbrodnią. Twój ojciec dokonał innych rzeczy, z których może być dumny.

FRYDERYK. Zauważyłem, że mu je przyznajesz. I sądzisz, że nas powinno zadowolić, skoroś mu odjął to, czem się szczycił najbardziej.

JAN. Ale jeżeli to nic zaszczytnego, Fryderyku!

FRYDERYK. Innym pleć takie brednie, nie mnie! Nie, Janie mówmy otwarcie! Jesteś ambitny i dałeś się skusić, wszystko poświęcić swojej ambicyi.

JAN. Możliwe, żem zbłądził...

FRYDERYK. Tak, zbłądził?

JAN. Ale gdy za powrotem do domu, ujrzałem, co się dzieje z ojcem i pomyślałem, żeś ty mi o tem nie zrobił nawet najlżejszej wzmianki...

FRYDERYK. Na cóż by się to zdało?

JAN. Gdyby to był *twój* ojciec a ja —

FRYDERYK. Tylko nie zestawiaj swojego ojca z moim! To zbyt śmieszne.

JAN. Otóż to! Więc pojmujesz, że *tego* rodzaju przyjaźni nie odnawiam. A przytem wdało się tu i coś innego.

FRYDERYK. Tak?

JAN. Kiedyśmy byli dziećmi, bawiliśmy się: twoja siostra, ty i ja z dziewczynką z tak zwanej niższej sfery. Była to najładniejsza z dziewcząt znanych mi — i zacna—utrzymywała matkę własną pracą.

FRYDERYK. Przestań! ciebie to nic nie obchodzi.

JAN. Obchodzi mnie, jeżeli mam uczynić postanowienie czy obcować z tobą nadal lub nie.

FRYDERYK. Co ty mówisz —? Jak śmiesz —?

JAN. Gdybyś się ożenił —

FRYDERYK. To moja sprawa! — — Zresztą wcale nie ja nie chciałem się żenić, lecz inni... i ona sama...

JAN. Tak, ona jest za dumna, aby się dała wziąć z litości.

FRYDERYK. Morały twoje znam od dawna. Wymieć własne śmieci!

JAN. Sprobuję.

FRYDERYK. Tak? A wiesz, jak niedokładre są rachunki twojego ojca? Do tego stopnia, że prawdopodobnie do zbadania trzeba będzie zwołać nadzwyczajną komisyę.

JAN. Co ty mówisz? Podejrzywają mojego ojca, że —

FRYDERYK. Aha, widzisz jak to miło słyszeć ubliżające słowa o swoim ojcu!

JAN. Ależ to niesprawiedliwe, kłamliwe brednie!

FRYDERYK. Podobnie jak twoje.

JAN. Co? Oskarżasz mnie o kłamstwo? Dowiedź mi!

FRYDERYK. Dowody masz w publikowanych dokumentach, których treść przekręcasz.

JAN. Gdzież to przekręcanie?

FRYDERYK. Wiesz, co mówią o twojej książce? Że napisałeś ją dla pokrycia niedbałego prowadzenia ksiąg przez twego ojca. On wiedział, że komisya się zbiera i wtedy wydaliście książkę, aby śledztwo miało pozór zemsty.

JAN. Wielki Boże, jakiż przebiegły, bezczelny wymysł! Więc tak się chcą bronić? To więc będzie ich obrona? Straszne! Ach, to ojca mojego doprowadzi do ostateczności.

FRYDERYK. Ha, więc go to dotknie? — Z czegoż będzie teraz żył — bez pensyi? Wielu wyda się to dziwne. —

JAN. Ależ to przechodzi wszelkie granice! Mój ojciec ma wady, ale jest człowiekiem honoru.

FRYDERYK. Hoho!

JAN. Mój ojciec, pozwól sobie powiedzieć, nigdy nie uwiódł młodej dziewczyny, porzucając ją dla karyery.

FRYDERYK. Janie!

JAN. Nawet nie pozwoliłby utonąć człowiekowi przez przyzwoitość.

FRYDERYK. Jak śmiesz —!

JAN. Tak, nawet nie pozwoliłby opublikować fałszywego przedstawienia swojego systemu dla uratowania swojego honoru. — Oto t w o j a rodzina i jej moralność.

FRYDERYK (*rzucając się na niego*). Zasługujesz! — (*Pauza — puszcza go*).

JAN (*poprawiając ubrania*). Nie dorosłeś jeszcze widocznie.

FRYDERYK. Proszę cię, nie drażnij mnie!

JAN. Ilekroć mówiło ci się prawdę, zawsze się tak zachowywałeś, od dzieciństwa.

FRYDERYK. Musisz mi natychmiast udowodnić, że mój ojciec ogłosił fałszywy stan rzeczy, inaczej źle będzie z tobą.

JAN. Dowód masz w mojej książce. Pokazać ci? (*bierze w rękę książkę*).

FRYDERYK. Aha, nawet nie możesz znaleźć!

JAN. Musiałbym być spokojniejszy... ale... Otóż go masz! Strona 49 na dole.

FRYDERYK (*bierze książkę*). Nic nie widzę.

JAN. Zakreślone jest. Zresztą nie ja to zrobiłem.

FRYDERYK (*czyta*). Ogólne obliczenie różnicy w wadze szyn, kół, średnicy itd.

JAN. To, to! Czytaj dalej!

FRYDERYK. Dalej?... Sprawozdanie z mowy ojca na wielkiem zgromadzeniu kolejowem w Paryżu. Czy także fałszywe? Wywołał przecież wtedy zachwyt inżynierów. Sądziłbym, że zaszczyt przyniósł naszemu narodowi.

JAN. Rzeczywiście i to też podniosłem szczególniej. Lecz tu gdzie sprawa jest znana, podaje inaczej, niż wobec cudzoziemców. Porównaj a sam się przekonasz.

FRYDERYK. Więc? — Gdyby tak było istotnie?
JAN. Gdyby tak istotnie było? Dwa sprzeczne wykazy z jednego i tego samego roku, przez jednego i tego samego człowieka —?
FRYDERYK. Mojego ojca. (*czyta*).
JAN. Napisano w sprawozdaniu: „Przejrzane przez mowcę“.
FRYDEYRK. Kłamiesz!
JAN. A więc czytajże!
FRYDERYK (*czyta*) A przecież kłamiesz! (*Rzuca książkę*). To jest jakieś straszne bezgraniczne nieporozumienie! Mój ojciec nie mógł uczynić czegoś podobnego! Mój ojciec jest człowiekiem honoru! Nigdy! Nie nigdy! (*Wybucha płaczem*). Czego ja tu chcę właściwie? Jesteś złym człowiekiem. Bez serca! Zdrajcą! Twoja niesłychana ambicya zdolna cię popchnąć do najhaniebniejszych rzeczy. Nienawidzę cię, brzydzę się tobą! (*Odchodzi w prawo*).
JAN. Nie powinienem był posuwać się tak daleko. Jego gwałtowność mnie zaraziła... Co! idzie i...? Rzeczywiście, to Kara!

SCENA XI.

JAN. KARA wchodzi z lewej strony.

KARA. Niema go tu?
JAN. F r y d e r y k a?
KARA. Czy go tu niema?
JAN. Nie — on, —
KARA. Karol Ravn był u mnie i powiedzial, żebym pospieszała. Widział Fryderyka biegnącego tu niemal — mogłoby się wydarzyć coś złego. — A Fryderyk może tu nie był nawet?
JAN. Owszem, był.
KARA. Czy co zaszło?
JAN. Nic, coby panią mogło zaniepokoić.
KARA. Czy tylko prawda?
JAN. Upewniam panią.

KARA. Ach, jakże się bałam!
JAN. Może pani odpocznie chwilkę?
KARA. Nie. Proszę nikomu nie mówić, że tu byłam. (*Chce odejść*).
JAN. Karo!
KARA. Zabraniam panu mówić tak do mnie!
JAN. Przepraszam panią! Ale tak żywo przypomniało mi się nasze dzieciństwo, gdyśmy chłopcy, brat, pani i ja mocowali się a pani nas rozbrajała.
KARA. Nie pojmuję, jak pan śmie myśleć o naszem dzieciństwie!
JAN. Proszę, niech pani wypowie wszystko, lepiej niż—
KARA. Nie mam panu zupełnie nic do powiedzenia. Zakazuję tylko panu m n i e coś powiedzieć (*Chce odejść*)
JAN. Karo!
KARA. Właśnie tego panu nie pozwalam!
JAN. Przebaczenia! — Przepuszczałem, że p a n i będzie w stanie zrozumieć mnie, iż nie powiedziałem nic innego, nad to, co według mojego przekonania, uważałem za prawdę.
KARA. A ja rozumiem, że za żadną cenę nie mogłabym wystąpić publicznie przeciw pańskiemu ojcu, chociaż i on nie jest bez wady.
JAN. Droga Karo!
KARA. Ależ to oburzające!
JAN. Chciałem tylko —!
KARA. Może pan ojca mojego atakować, jeżeli pan musi. Ale nie powinien pan jednocześnie zachowywać się tak, jakgdybym ja panu czemś była.
JAN. A jednak —
KARA (*w podnieceniu*) Tylko jedno pytanie i pozwolę panu na nie odpowiedzieć. Gdyby to był nie mój ale pański ojciec, czyby pan był także przeciw niemu wystąpił publicznie?
JAN. Mój ojciec —? Jakże pani może przypuszczać!
KARA. A widzi pan! Jeżeli tak... trudno mi to powiedzieć — ale lepiej! — gdyby jakaś dziewczyna była dla pana tem... co panu zabroniłam mówić do siebie—

JAN. Drogą i ukochaną.

KARA. Byłby przecież ojciec dziewczyny właściwie i pańskim. —

JAN. Ale racz mi pani —!

KARA. Proszę tego sobie źle nie tłumaczyć! To niema być wyrzut, bynajmniej! Nie, ja sama jestem słaba, nieszczera, że to graniczy ze zbrodnią. Lecz patrzyłam na pana, jako na istotę wyższą, dlatego też boli mnie to obecnie, nie, żeś ojca mego zaczepił — ale, że i ty Janie nie jesteś zupełnie szczery, nie jesteś sam sobą. To mnie boli. ach, jak boli! (*Wybiega).*

JAN. Ależ Karo! Wysłuchaj mnie najpierw! To brzydko z twej strony —! (*Urywa*).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Pokój w domu naczelnego dyrektora.

SCENA I.

Ze wszystkich stron rozlega się gwar towarzyskiej rozmowy. Poprzez głosy panów słychać dźwięki fortepianu towarzyszące wesołej piosence, która wywołuje śmiechy i oklaski.

KARA. JAN.

KARA (*wchodzi; za nią służąca z tacą, na której dla pań chłodniki*). Postaw to tu! Tak! — A teraz idź do Fryderyka i powiedz mu, że dla panów nakryte jest w ogrodzie. (*Służąca wychodzi).*

JAN (*ukazuje się w stroju wizytowym, z kapeluszem w ręku*).

KARA (*spostrzegłszy go*). Przepraszam pana, pokój przeznaczony jest dla pań i rodziny.

JAN. Muszę z panią pomówić.

KARA. Pan przecież wie, że nigdy nie będę słuchała—

JAN. Daję pani słowo, że to nic takiego, czego by pani nie mogła słuchać.

KARA. Nie wierzę panu! Że pan i ojciec znajdujecie się dziś tu — jest ze strony panów takiem zuchwalstwem, iż mogę wszystkiego się spodziewać.

JAN. Ja przybyłem jedynie dla rozmowy z panią, mój ojciec zaś chciał się zjawić, skoro go zaproszono. Wolno mi więc mówić?

KARA. Panu wolno. Lecz mnie nie. — Słyszę panów wychodzących do ogrodu.

JAN. Boi się pani; wyglądam niespokojnie... Straszny czas przeżyłem od ostatniego widzenia się z panią.
KARA. Pan?
JAN. Nic dziwnego, że pani mnie nie rozumie, skoro ja sam siebie nie rozumiałem! — Tak! proszę spojrzeć na mnie —! Wtedy mówiłem bez zastanowienia; dawałem pani odpowiedzi, które mogły w błąd wprowadzić... a zwłaszcza jednę muszę sprostować! Pozwala pani?
KARA. No, dobrze... żeby tylko nie —?
JAN. Proszę się nie lękać. Powiedziałem ostatnim razem, że gdyby to był mój ojciec zamiast pani ojca— nie byłbym przeciw niemu występował jawnie.
KARA. A zatem?
JAN. Zastanawiałem się nad tem; rozmawiałem też z ojcem i zgodziliśmy się na jedno: gdyby publicznie popełnił błąd, gdyby ten błąd miał szkodliwe następstwa dla ogółu a nikt nie zdołałby go odwieść — byłoby moim obowiązkiem, moim najświętszym obowiązkiem sprawę również publicznie poruszyć, jeżeliby nikt inny nie chciał i nie mógł —
KARA. Co pan mówi?
JAN. To co słuszne.
KARA. Straszna rzecz! — Własnego ojca mógłby pan oskarżyć publicznie?
JAN. Proszę mnie dobrze rozumieć! Moim obowiązkiem by to było ale wykonać go nie miałbym siły! Nie! — Gdyby moja książka nie była gotową, zanim wróciłem do domu a wydaną, zanim z panią mówiłem, nie byłbym jej ani wydał ani pisał.
KARA. A widzi pan!
JAN. Przytem zrobiłem odkrycie, że posiadam równie gwałtowne namiętności, jak ojciec. Trzeba tylko iskry aby je rozbudzić. Uległbym im, podobnie jak on uległ. A byłbym jeszcze nieszczęśliwszy od niego.
KARA. Ależ Janie!
JAN. Tak, zrozumiałem to! Moja książka jest owocem długoletnich rozważań. Napisanie jej było pierwszym

krokiem w spełnieniu zadania mego życia. Porzucić tę myśl byłoby rzucić to, w czem tkwi mój alent, moja wiedza — nigdy bym się nie podniósł więcej!

KARA. Tego nie wiedziałam!

JAN. Ja sam nie wiedziałem!... Ale tem mniej wiedziałem... Wychowaliśmy się razem. —

KARA. Nie, Janie.—

JAN. Pozwól mi wypowiedzieć wszystko. Uważałem cię jako do pewnego stopnia do mnie należącą, więc poniekąd zapomniałem o tobie. Ale od onegdaj... gdyś uciekła odemnie... W chwilę później... jeszcze dotąd przejmuje mnie drżenie!... kiedy poznałem, jak bardzo byłem kochany...

KARA. Ależ Janie!

JAN. Miałem ochotę spalić moją książkę —!

KARA. Byłbyś w stanie to uczynić —?

JAN. Byłbym... wstydzę się przyznać! Mógłbym upaść, tak strasznie upaść, jak mój ojciec, — jeszcze straszniej! A ty byś przecież nie chciała tego?

KARA. Nie! nie!

JAN. Wierzysz mi, Karo? —

KARA. Wierzę.

JAN. Bo bez twojej wiary żyć nie mogę! Wierz mi, że ciebie nie zdradziłem, gdyż wtedy nie wiedziałem nawet, czem dla mnie byłaś. Wierz mi, że gdybym był wiedział, dla ciebie raczej zdradziłbym sam siebie.

KARA. Nie mów tego, Janie!

JAN. Muszę ci wszystko dziś wyznać, żeby cię przekonać... co we mnie najwyższe i całą moją nędzę, wszystko, co we mnie tkwi najgłębiej chciałbym, byś poznała! Ty byłaś zdolną wpędzić mnie napowrót w tchórzowskie milczenie, unicestwić mnie... jest w tem coś odziedziczonego.

KARA. Ależ Janie!

JAN. Tylko, że ze mną byłoby stokroć gorzej, gdyż ja nie staczałbym się stopniowo, jak mój ojciec, nie, ja bym się z zupełnem, świadomem zaparciem się ide-

ałów rzucił w przepaść. A chociażbyś mnie nienawidzić miała, byleś mi tylko wierzyła!

KARA. Wierzę ci, wierzę! To znaczy wierzę, iż mówisz pod wpływem jakiegoś wielkiego lęku.

JAN. Ach, dałby to Bóg!

KARA. Jestem pewną. Przebywałeś w mroku posępnych wspomnień i trwoga cię przejęła.

JAN. Tak sądzisz?

KARA. Jestem pewną, najzupełniej pewną! I widzę w tem tylko jedno: jak jesteś silny i jednolity... Tak, prawdą jest, kocham cię, Janie! (*Rzuca mu się w objęcia*).

JAN. Karo!

KARA. Kocham cię!

JAN. Mój dobry duchu —!

KARA. Ktoś idzie! (*Puszczają się i rozchodzą, gdy pani Riisowa drzwi otwiera*).

SCENA II.

C i ż. RIISOWA.

RIISOWA. Karo! Gdzież ty siedzisz? Jeszczeście nie skończyli?

KARA. I owszem, mamo, teraz już.

RIISOWA. Dlaczegóż więc nie przyszłaś i nie powiedziałaś tego, dziecko? — Stoicie tu sobie i dysputujecie. I wy także? Wszyscy dysputują. Czyście sobie powiedzieli co przykrego?... Prawda, Janie, z ciebie nie jestem wcale zadowolona.

JAN. Ach pani!

KARA (*rzuca się matce na szyję*). Mamo!

RIISOWA. Co ci jest, Karo? Przecież chyba nie —?

KARA. Tak, mamo.

RIISOWA. O Boże, Karo! (*Siada*).

KARA. Ależ matuchno? (*klęka przed nią*).

RIISOWA. Nie powinnaś była tego czynić.

JAN. To moja wina.

RIISOWA. Teraz nastaną dla mnie ciężkie chwile (*Płacze*)

KARA. Dla ciebie, mamo?

JAN (*jednocześnie*). Dla pani?

RIISOWA. Teraz powie, że to moja wina.

JAN. Pani?

RIISOWA. I mojej rodziny — że cała moja rodzina stoi mu na zdradzie. I to prawda; wszyscy go zdradzają. Ale ja temu nie jestem winna. (*Płacze*).

KARA. Dobra, kochana mateczka!

RIISOWA. A jeżeli teraz nawet dzieci go opuszczą! — Ale nie ja cię tego nauczyłam, Karo.

KARA. Mamo!

RIISOWA. To byłoby zdradą z twojej strony, Karo, tak!

KARA. O Boże! mamo! (*Ukrywa głowę na jej kolanach*).

RIISOWA (*gładzi jej włosy*). Nie chciałabym ci dokuczać, ale muszę ci to powiedzieć.

JAN. Pani.

RIISOWA. Nie powinieneś był dopuścić do tego, Janie. Trzeba było lepiej panować nad sobą. — A teraz musicie to uważać za niebyłe, dzieci. Inaczej musiałabym przecież powiedzieć ojcu. Nie mogę przed nim kłamać.

JAN. Ale czy nie mogłaby pani zamilczeć?

RIISOWA. Zapewne; będzie mi to przykre, ale tak nawet trzeba będzie zrobić, aby mu nie sprawić zbyt wielkiej boleści. I tak ma dość zmartwień.... Nie, nie można... Nic się więc nie stało, słyszycie dzieci, nic.

JAN. Ależ pani!

KARA. Mama ma słuszność! (*Znowu kryje głowę na jej kolanach*).

RIISOWA. Tak, ja mam słuszność — A ty, Janie przecież nie możesz mu zabrać dzieci... Nie możesz.

GŁOS Z ZEWNĄTRZ. Tam jest chłodniej!

KARA (*zrywa się i wskazuje na lewo*). Idź! Pospieszaj!

JAN. Ale ja m u s z ę z tobą jeszcze pomówić!

KARA. Nie. Idź! idź! (*Jan odchodzi — Obejmuje namiętnie matkę*). Mamo! (*Ta podniosła się a Kara wybiega na prawo*).

SCENA III.

RIISOWA. OLA RAVN, zwana „ciocią Olą“, PREUSSOWA.

CIOCIA OLA. Widzicie, to tu! Same się wpraszamy, bo w ogrodzie nie można wytrzymać z gorąca i z tego dysputowania. — Co ci jest, dziecko?

RIISOWA. Och —!

CIOCIA OLA. Najlepsza w świecie kobieta z ciebie tylko wiecznie masz otwarte śluzy. To jedyna twoja wada. — I to ty, Kammo, która masz takiego dobrego męża?

RIISOWA. Tak, on jest dobry ale dla niego wszyscy są niedobrzy. Oto przyczyna. —

CIOCIA OLA. Rzeczywiście, że to skandaliczne! Ale o to przecież nie płacz. Jeżeli kto, to Riis wyjdzie z honorem z całej afery. On umie być panem każdej sytuacyi.

RIISOWA. Tak, jest w nim coś wielkiego.

CIOCIA OLA. O, jaki rozum, takt, dobroć. Czyś zwracała na niego uwagę podczas obiadu?

RIISOWA. Nie, musiałam pamiętać o tylu rzeczach.

CIOCIA OLA. Właśnie, co dopiero powiedziałam do zięcia i Anny. On jest najpiękniejszą ozdobą rodziny a wy co —? Rzucacie się na niego jak prawdziwe kruki.

RIISOWA. Nie czynią tego przez złą wolę.

CIOCIA OLA. Chyba że tak, Bóg raczy wiedzieć!

RIISOWA. Nie ciociu, nie są źli, — żaden z nich. Są uczciwi...

CIOCIA OLA. Tak, ty jesteś pełna zachwytu dla twojej familii. O sobie nie mogę tego powiedzieć. Ale też to jedyna twoja wada — Galareta malinowa! Ach! nikt jej nie umie tak zrobić jak ty!

RIISOWA. Proszę, pozwól ciocia. Pójdę po resztę pań (*Wychodzi*).

CIOCIA OLA. Usłuż sobie sama, dziecko drogie — powiadam ci znakomitość! Aa, już sobie wzięłaś?

PREUSSOWA. Naturalnie, od dawna.

CIOCIA OLA. Znużyło mnie to gadanie. Jeszcze teraz szumi mi w uszach.

PREUSSOWA A mnie to bardzo zajmowało, ciociu.

CIOCIA OLA. Zajmowało? Cyfry nie mogą nigdy być zajmujące, o ile się nie odnoszą do naszego własnego majątku. A i wtedy nie zawsza bywają interesujące. W dodatku cyfry i średnice koła, cyfry i szerokość śladu, tarcie, naturalny ciężar... hu! Śnić mi się to będzie, tyle się nasłuchałam!

PREUSSOWA. Nie darmo przecież ciocia była żoną inżyniera, jak my wszystkie.

CIOCIA OLA. Ach ci inżynierowie! zwłaszcza młodsi! To istne robactwo!

PREUSSOWA. Ależ ciociu! Hahaha!

CIOCIA OLA. Żadnego pietyzmu, żadnej powagi! A niedowiarkami są wszyscy. To też nie wiedzą nawet, co jest przyzwoite a co nie.

PREUSSOWA. Przyzwoite —?

CIOCIA OLA. Nazywam nieprzyzwoitością kłócić się o system dyrektora w jego własnym domu.

PREUSSOWA. Przecież sam chciał tego!

CIOCIA OLA. Licha tam chciał!

PREUSSOWA (*nie przerywając sobie*). W przemowie swojej wezwał ich sam do otwartego wypowiedzenia się w dyskusyi.

CIOCIA OLA. Takie brednie wygadujesz, dziecko! Skoro on posiada na tyle taktu, aby udawać obojętność, nie wypływa, aby oni go nie mieli wcale. Ale właśnie oni są bez wychowania. Powtarzam: brak im poczucia przyzwoitości. Wypływa to z ich studyowania natury.

PREUSSOWA. Ależ ciociu! Czegoś podobnego nigdy jeszcze nie słyszałam haha!

CIOCIA OLA. W takim razie niewiele słyszałaś—No jesteście i wy?

SCENA IV.

CIOCIA OLA. PREUSSOWA. STANGOWA. TOMASOWA. KAROLOWA RAVNOWA. Później RIISOWA

CIOCIA OLA. Macie tu pyszności galaretę malinową. Tego roku Kamına przeszła samą siebie.

PREUSSOWA. Ciocia jest dziś w kiepskim humorze.

STANGOWA. Cóż to, ciocia dziś źle usposobiona?

CIOCIA OLA. Kto?... Ja — At, obrzydliwe to krakanie ściga mnie po całym domu... Ale z góry powiedziałam Kamie: tego roku nie zapraszaj na przyjęcie inżynierów kobiet z familii. Przecież będą się tylko kłócili o nowy system a to dla nas nic ciekawego!

WSZYSTKIE. I owszem, ciociu!

KAROLOWA (*jednocześnie*). I owszem, mamo, zajmujące!

CIOCIA OLA. Doskonałe sobie jesteście! Żadna z was nie zasługuje na to, aby się tu znajdować.

PREUSSOWA. Ależ ciociu — to przecież sprawa publiczna, którą i my kobiety się interesujemy!

CIOCIA OLA. Nic się na niej nie rozumiejąc. Ha, dziś jest to rzecz zwykła, gdy chodzi o wszystkie publiczne kwestye. Rozstrzygają je ci, którzy ich nie rozumieją zgoła.

KAROLOWA (*nabierając sobie galarety*). A mama przecież jest najbardziej zapaloną!

CIOCIA OLA. Co, więc i ty tu jesteś? Powiem ci wprost moja córko, że oburzyłam się bardzo, widząc ciebie z mężem drepcących tu. Czy to nie jest również nieprzyzwoitością? On, który publicznie wystąpił przeciw własnemu krewnemu! Tamci sobie przynajmniej tylko użyją na szeptaniu.

KAROLOWA. Nie mogę się z tem pogodzić, aby to miała być sprawa familijna. (*Panie orzeźwiwszy się wyciągają robótki*).

CIOCIA OLA. Twój mąż powinien raczej iść w ślady bliższego sobie dyrektora niż jakiegoś tam zapitego Amerykanina.

KILKA GŁOSÓW. Amerykanina?

CIOCIA OLA. Tak go nazywam, bo przecież stamtąd przybył i nie wierzy w żadne powagi. To chyba po amerykańsku, o ile mi się zdaje?

KAROLOWA. O to też tylko chodzi, czy owe powagi są niemi.

CIOCIA OLA. Tylko ty siedź cicho! Ty i twój mąż, twój mąż i ty!

PREUSSOWA. Zawsze ciocia narzeka na swojego zięcia, czemuż go było przyjmować?

CIOCIA OLA. Wytłumaczę ci, dziecko. Jeżeli się ma głupie córki, często człowiek sam głupieje. Zresztą jestto wcale porządny chłopiec, gdyby tylko nie był taki ekscentryczny. Ale to naturalne, przecież cała familia jest taka. (*Wchodzi Riisowa*). Wszyscy z wyjątkiem ciebie, moje dziecko! Ty jesteś rzeczywiście najlepsza ze wszystkich. Wszyscy inni są nie do zniesienia.

RIISOWA (*poważnie*). Ależ ciociu, nie zechcesz chyba obmawiać swojego nieboszczyka męża, że był nie do zniesienia!

CIOCIA OLA. Niech spoczywa w Bogu, poczciwina! Ale i on w całej paradzie poszedł raz do premiera ministrów i prosił o zwolnienie z obowiązków, bo nie może pojąć obecnych czasów! — O, urządzał mi rozrozmaite podobne kawałki!

PREUSSOWA. Był przecież u króla?

CIOCIA OLA. Tak i prosił go, aby jednego z książąt dał do terminu, — bo to byłoby korzystne... dobry przykład... Nie pozostawało mi nic innego, jak kierować się własnym rozumem Aż mnie mdłości chwytały od całego tego idealizmu... Wierz mi, dziecko: tę odrobinę rozsądku, jaką posiadasz, po mnie odziedziczyłaś.

RIISOWA. Przynoszę pozdrowienia od męża, który musiał wyjechać pociągiem odchodzącym o siódmej.

CIOCIA OLA. Patrzajcież, z własnego domu go wygnali!

RIISOWA. Ależ nie, bynajmniej! Miał interes niecierpiący zwłoki — zapomniał o nim.

CIOCIA OLA. Ba, ba, ba! Ustąpił z drogi tym nieprzyzwoitym jest za delikatny.
STANGOWA. Może właśnie chciał zostawić wolne pole do dyskusyi, usuwając się.
CIOCIA OLA. To możliwe. Zawsze pełen względów! A drudzy? Wprost przeciwnie.
RIISOWA Ale mąż właśnie sam ich zachęcał, aby się porozumieli, skoro wszyscy dziś się tu zeszli.
CIOCIA OLA. Taka nudna jesteś z tem bronieniem wszystkich ludzi! W twojej obecności po prostu nawet mówić nie można.
RIISOWA. Ależ ciociu —!
CIOCIA OLA. No, no, to też twoja jedyna wada! Chodź, pocałuj mnie! (*Całują się*). Tak! Dobra jesteś! (*Głaszcze ją po twarzy. Riisowa odchodzi*).

SCENA V.

Poprzedni oprócz RIISOWEJ. KAROL RAVN.

KAROL RAVN. Tu jesteś?
PREUSSOWA. A tyś myślał, że uciekła?
TOMASOWA. Co najmniej.
KAROL. Nie ale straciłem ją z oczu. Musiałem przecież zobaczyć, gdzie się podziała i jak się bawi?
KAROLOWA. Dziękuję, dobrze, a ty?
KAROL. Wybornie! To znaczy bawiłbym się lepiej, gdyby się trzymali samej rzeczy, zamiast —
CIOCIA OLA. — pytać o przyczyny? A tu jestto niezbędne! Bo gdyby stary pijaczyna miał był w porządku rachunki, oszczędzono by nam tego wszystkiego. Otóż tak się mają sprawy!
KAROLOWA. Słyszysz więc, jak my kobiety bierzemy tę kwestyę!
CIOCIA OLA. O, nie tylko my, kobiety tak mówimy ale całe miasto a może nawet kraj cały.
KAROL. Cyt! Cyt!

SCENA VI.

Ciż. KAMPE. Później RUSOWA.

KAMPE. Naszego gospodarza tu niema?

KAROL. Nie, wyjechał.

KAMPE. Wyjechał? On wyjechał?

KAROL. Czy coś zaszło?

KAMPE. Ach, nic wielkiego. Jego syn Fryderyk opowiadał mi właśnie — że... że

KILKA GŁOSÓW. Cóż takiego?

KAMPE. Że mają zwołać komisyę, aby zbadała, czy moje rachunki... są — w porządku.

KAROLOWA (*wstając*) To się mówi, bo — no, bo się chce, żeby to mówiono.

KAROL. Nie inaczej.

KAMPE. On powiedział, że wszyscy w to wierzą; wszyscy o tem mówią. Czy to prawda? Chciałbym wiedzieć, czy to prawda?

KAROLOWA. Przecież pan sobie nic nie robi z tej gadaniny?

KAMPE. A zatem mówią? Czy pani słyszała, łaskawa pani?

CIOCIA OLA. Muszę powiedzieć prawdę: a więc ja słyszałam.

KAMPE. Więc i pani słyszała? — W takim razie młodzian miał słuszność. Mają mnie wezwać do przesłuchania? I to zatem mnie nie ominęło? Ha, rozumie się!

KAROLOWA. Ależ panie Kampe —!

KAMPE. Prawda, pani jest mi życzliwą, mnie i mojemu synowi. Dzięki pani za to! — A więc stary Kampe będzie się musiał poddać indagacyi?

KAROLOWA. Jeżeli pan to w ten sposób przyjmie, osięgną pańscy przeciwnicy właśnie to, do czego zmierzali.

KAMPE. Osięgną nawet więcej, niż sami chcieli! (*Wybiega*).

KAROLOWA. Idź za nim Karolu. Nakłoń go, aby ten dom opuścił!

KAROL. Dobrze.
KAROLOWA. Jeżeli ciebie nie usłucha, wezwij pomocy syna!
KAROL. Naturalnie. (*Wychodzi*).
KAROWA. O, to sprzysiężenie!
CIOCIA OLA. A któż je spowodował? (*Karolowa siada, nie odpowiadając*).
PREUSSOWA. Fryderyk nie powinien był mu tego mówić.
TOMASOWA. A już w żadnym razie nie tu.
STANGOWA. Z Fryderyka taki gorączka.
CIOCIA OLA. Fryderyk kocha ojca.
PREUSSOWA. Rzeczywiście.
CIOCIA OLA. Nie dziwię się, że mu krew uderzyła do głowy, zwłaszcza po takim dobrym obiedzie. Widzi ojca otoczonego ludźmi zazdroszczącymi mu i zniesławiającymi go... a między nimi własnych krewnych, niestety!
PREUSSOWA. Alboż my zazdrościmy dyrektorowi?
TOMASOWA. My go zniesławiamy?
PREUSSOWA. Ciocia używa silnych wyrażeń! (*Śmieje się*).
CIOCIA OLA. Nie mogę tego nazwać inaczej.
STANGOWA. Czy mogę teraz ja słówko wtrącić?
CIOCIA OLA. Nie, nie możesz, moje dziecko. Bo jak ty zaczniesz, nie będzie co myśleć o spokoju i zgodzie.
PREUSSOWA i TOMASOWA. Ha, ha ha!
STANGOWA. Co też ciocia mówi! Czyż to nie ja właśnie zawsze walczę o spokój i zgodę między nami? Bo o spokój i zgodę trzeba walczyć, — zwłaszcza w obecności cioci Oli.
PREUSSOWA i TOMASOWA. Ha, ha, ha!
CIOCIA OLA! O ty potworze! Czyż tego, kto staje w obronie człowieka, można nazywać burzycielem spokoju?
STANGOWA. I owszem, ciocia jest taka niedobra, tak lubi obmawiać — tak, tak, ciociu!
CIOCIA OLA. Mój ty Boże! A toż ja calutki dzień bronię dyrektora przed oszczerstwami! — Mówisz co, Anno?

KAROLOWA (*która siedziała spokojnie*). Nie mamo.
STANGOWA. Ciocia mówi tyle brzydkich rzeczy, — taki ma ostry język.
CIOCIA OLA. Nie jestem powolna i uroczysta jak widziadło. —
PREUSSOWA i TOMASOWA. Ha, ha. ha!
CIOCIA OLA. A właśnie ze wszystkiem, co „brzydkie“ (jak ty to nazywasz) walczę, odkąd przybyłam w tę okolicę. Co mówisz Anno?
KAROLOWA. Ja? Ani słowa. mamo!
CIOCIA OLA. O, widzę cię doskonale poprzez twoje okulary. Siedzisz i zakrywasz się robótką.
KAROLOWA. Jestem przecież krótkowzroczna, mamo. Po tobie to odziedziczyłem.
STANGOWA. Tak, Bogiem a prawdą dużo tu zazdrości i obmowy. To wielkie wady rzeczywiście. A my, kobiety, nie jesteśmy od nich wolne ale ty, ciociu Olu jesteś najgorsza z nas wszystkich!
PREUSSOWA i TOMASOWA. Ha, ha, ha!
CIOCIA OLA. Drżysz z samej jadowitości! — Ale pytam was, czy to nie ja zmuszona jestem brać w obronę dyrektora przed jego własną nieżyczliwą familią?
PREUSSOWA. Nie, tego ciocia nie może twierdzić.
TOMASOWA. Zgoła nie, ciociu Olu!
STANGOWA. Ależ takie rzeczy zawsze powtarza.
CIOCIA OLA. Aha, ożywił się kurnik, skoro naruszyłam familię! Śliczna familijka, posiadająca patent na wszystkie cnoty! — Co mówisz, Anno?
KAROLOWA. Hahaha!
PREUSSOWA. Ciocia wie bardzo dobrze, że bez naszej familii, dyrektor nie otrzymałby tej wysokiej godności.
CIOCIA OLA. Nie, naturalnie! Wyście nas wszystkich powyciągali z rynsztoków! Boże, że też ja tego wcześniej nie wiedziałam, przed moim przyjazdem! To mnie gniewa. (*Wchodzi Riisowa*). Jesteś? Ty jesteś jedyna uczciwa między niemi.
RIISOWA. O czem mówicie?

CIOCIA OLA. Rozumie się, że wciąż o jednym temacie. Ja powiadam, że twoja familia powinnaby się wstydzić swojego postępowania wobec twojego męża. Na to one odpowiadają, że bez nadprzyrodzonej potęgi rodu Ravnów twój mąż nie byłby niczem.

RIISOWA. Ach, pewnie tak nie myślały, ciociu!

CIOCIA OLA. Właśnie, że tak! Zapytaj je! Gdyż w jednem są wszystkie zgodne (chociaż w niczem zresztą) — a mianowicie, że ród Ravnów jest jedynym, który coś wart. — Cóż ty na to?

KAROLOWA. Ja? — Zdawało mi się, że to mama właśnie coś mówiła.

CIOCIA OLA. Nie drażnijcie mnie zbytnio! Wzięłam sobie na cel tę familię, od czasu tej historyi z dyrektorem. Miałabym co opowiadać.

PREUSSOWA i TOMASOWA. Prosimy więc, ciociu Olu.

STANGOWA. Niech się ciocia nie wstydzi!

RIISOWA. Proszę was, niechżeż w rodzinie zapanuje zgoda!

STANGOWA. Ależ nam to przyjdzie bardzo łatwo.

CIOCIA OLA. Naturalnie, bo wszystkie zgadzacie się na jedno, aby jego utrącić.

KAROLOWA. A więc jest coś przecież, w czem się zgadzamy?

PREUSSOWA. Ha, ha, ha!

CIOCIA OLA. To stąd pochodzi, że wszyscy macie jakiegoś bzika

KAROLOWA. Hahaha!

STANGOWA i TOMASOWA (*razem*). Brawo, ciociu Olu!

STANGOWA (*jednocześnie*). Nie po raz pierwszy nam to ciocia mówi!

CIOCIA OLA. Tak ! !

RIISOWA. Ależ cioteczko, proszę się nie irytować!

CIOCIA OLA. Dobrze, dobrze. Jeden zatapia się w marzeniach do szaleństwa. drugi popada w zwątpienie aż do szaleństwa, trzeci tonie w ustawicznych spekulacyach handlowych do —

STANGOWA. Ciociu, przestań.

CIOCIA OLA. Może się będziesz ze mną biła? Tegoby tylko brakło! Czwarty siedzi w wynalazkach i tym podobnych fatałaszkach aż do obłędu. Piąty —

KAROLOWA. Ha, ha, ha!

PREUSSOWA i TOMASOWA. Cóż dalej, a więc piąty?

STANGOWA. Już wiem, o kim ciocia myśli! to szkaradnie —!

CIOCIA OLA. Piąty jest misyonarzem zgody i miłości—

RIISOWA. Ach, miłość, ciociu Olu! Trzymaj się tylko miłości!

CIOCIA OLA. Dajże mi święty spokój z twoimi bredniami o miłości. Ty jesteś właśnie z tego piątego rodzaju... i najnudniejsza ze wszystkich!

KAROLOWA, PREUSSOWA i TOMASOWA. Ha, ha, ha!

STANGOWA (*jednocześnie*). A mówiła ciocia przed chwilą —

CIOCIA OLA. I ty także! Chociaż jesteś czarownicą.

WSZYSTKIE prócz RIISOWEJ. Ha, ha! ha! (*Słychać głośną rozmowę).*

CIOCIA OLA. Idą, Boże miłosierny, tu nawet! Gdzież się schronimy, aby mieć spokój? (*Wszystkie zrywają się*). Do sypialni! Tam przecież nie pójdą za nami?!

WSZYSTKIE *(prócz Karolowej)*. Ha, ha, ha! *Ciocia Ola też się śmieje*).

KAROLOWA (*gdy wszystkie wychodzą*). Tak więc my omawiamy sprawę kolejową!

WSZYSTKIE (*wraz z ciocią Olą*) Ha, ha, ha! (*Odchodzą w lewo*).

SCENA VII

KAHRS i PREUSS po jednej stronie PRZEWODNICZĄCEGO komitetu kolejowego, LANGE i KRAFT po drugiej.

KAHRS. Dowody trzeba zestawić.

LANGE. Lecz jeżeli dowód stanie za dowód?

PREUSS. Cyfry! cyfry! powiadam. Cyfry nie mogą kłamać.

KRAFT. Ale skoro cyfry stają przeciw cyfrom?

KAHRS. Właśnie wasze dowody, wasze cyfry zbił Jan Kampe.

LANGE. Nigdzie! Założenie jest całkiem fałszywe.

KAHRS. Jego założeniem są między innymi publiczne dokumenty — a te dowodzą —

KRAFT. To najczarniejszy wymysł!

KAHRS. Porównajże pan pozycye ruchu nowej kolei.

LANGE. Ten dowód nie może mieć znaczenia! Właściwość terenu —

KRAFT. Jakoteż samego ruchu.

PREUSS. A zatem weźmy kolej południową. Właśnie tu dowiódł Kampe.

LANGE. Właśnie tu naczelnik biura Larssen dowiódł czegoś wprost przeciwnego!

KAHRS. Obliczenia starego Kampego a obliczenia naczelnika Larssena!

KRAFT. Co pan mówi?

LANGE. Ja wierzę w naczelnika biura Larssena jak —

PREUSS. W Boga? Co?

LANGE. Jak w matematyczny dowód! Tak, panowie!

SCENA VIII.

C i ż. Naczelnik biura LARSSEN. Inspektor kanalizacyi FRYDERYK RAVN. KAROL RAVN. (*Poprzedni prowadzą dalej rozmowę stłumionym głosem na przodzie sceny*).

KAHRS. Nie, raczej niech pan wierzy sprawozdaniom inżynierów!

jednocześnie:

KRAFT. Co mi do nich?

PREUSS. Inspektor kanalizacyi zestawił te sprawozdania w sposób druzgocący.

KRAFT. Inspektor kanalizacyi? Szwagier dyrektora?

LANGE. A ja powiadam: i to jest fałszywe!

jednocześnie

PREUSS. Ja zaś: pan już nie wie, co mówi!

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. Moi panowie!

LANGE. Nikt nie może wątpic, że stoimy tu wobec spisku, którego autorem jest pijaczysko a tajemną sprężyną zawiść familijna. (*Równocześnie z tą rozmową toczy się następująca wśród schodzących się powoli*).

FRYDERYK RAVN. Zajdź pan do mnie kiedy i przejrzyj je pan. Porównałem sprawozdania inżynierów ruchu.

LARSSEN. Tośmy również uczynili.

FRYDERYK RAVN. Nie w ten sposób. Przyjdź pan i zobacz!

LARSSEN. Uczynię to, skoro pan pozwoli.

FRYDERYK RAVN. Wiem, że panu w tej sprawie chodzi o prawdę wyłącznie.

LARSSEN. Spodziewam się, panie inspektorze!

(*Karol Ravn zwolna przysunął się do grupy szeptających*).

KAROL RAVN (*wesoło*). Zawiść familijna. Przedewszystkiem proszę mówić głośno!

LANGE (*głośno*). Nie obawiam się. Powinno się każdą rzecz zbadać aż do jej moralnego zarodu. Nasze małe stosunki zezwalają na to -- i to stanowi wielką ich zaletę.

PREUSS. Przynajmniej narodową!

LANGE. Ach, proszę nie wymieniać tego wyrazu, gdy jest mowa o nowym systemie! Gdyby wśród młodszych inżynierów panowała miłość ojczyzny, cenili by to, co jest naszą właściwością.

FRYDERYK RAVN. To znaczy: nasze błędy?

LANGE. Bo to, co wy cenicie — są szaleństwa.

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. Przepraszam, w Radzie państwa przywykłem do parlamentarnych wyrażeń.

LANGE. I w parlamencie przecież wolno mówić prawdę.

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. (*uśmiecha się*) Nie, właśnie tego w parlamencie nie wolno.

KILKA GŁOSÓW. Hahaha!

KRAFT. Ale, skoro już mówimy o parlamencie — jakiż tam nastrój? Cóż on postanawia?

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. Hm, parlament źle na tem wychodzi, że świadomi stosunków stoją na skrajnych stanowiskach.

PREUSS. Liczą tedy i urzędników kolejowych za świadomych stosunków?

KAHRS. Straszliwe grubjaństwo!

KRAFT. Prawda, rzeczywiście, „straszliwe" — Ale cóż, zdaniem pana, parlament postanowi?

FRYDERYK RAVN. Łatwo przewidzieć. Parlament ma rozstrzygać sprawę dwóch kolei. Rozporządzi tedy, aby jednę budować według starego, drugą według nowego systemu.

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. Wtedy sprawa nie będzie w zasadzie rozstrzygniętą.

FRYDERYK RAVN. Zupełnie słusznie. A cóż na świecie u nas rozstrzyga się zasadniczo?

KAROL RAVN. Oh, teraz znów bredzisz, ojcze Ravnie!

LARSSEN (*który zbliżył się do Przewodniczącego*). Ale pan pozwoli: przecież dwie sprzeczne rzeczy nie mogą być jednocześnie prawdziwe?

SCENA IX.

Poprzedni. KAMPE. Później FRYDERYK RIIS. KARA i JAN KAMPE.

KAMPE. Ładne towarzystwo się tu zbiera!

KAROL RAVN. On znowu tu?

PREUSS. I to pijany!—Mówiono, że stał się przyzwoitym człowiekiem?

KAHRS. Przy stole nie wypił ani kropli.

KAMPE (*śpiewa*). Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus —

LANGE (*równocześnie do Przewodniczącego*). Pozwoli pan sobie przedstawić człowieka, któremu zawdzięczamy całą sprawę?

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. Tak więc nizko upadł?

LANGE. Tak, w ostatnich latach staczał się bardzo szybko.

KAMPE (*śpiewa*). Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus. —

FRYDERYK RAVN. Cóż to jest?

KAMPE. To ja, bracie. Magnus Holm Kampe! (*Fryderyk Ravn rozmawia po cichu z Karolem Ravnem, który potem wychodzi żywo*).

LARSSEN (*który się znowu zbliżył do przewodniczącego*). Ale pan pozwoli· przecież dwie sprzeczne rzeczy nie mogą być jednocześnie prawdziwe?

KAMPE. Nie, rzeczywiście! jest (*Przedrzeźnia naczelnika biura*). Jego górnolotność zasada też tu się znajduje?

LANGE (*do Krafta*). Sprowadźże pan cały komitet kolejowy, to byłoby wspaniałe!

KRAFT. Natychmiast! Znakomity pomysł!

LANGE. Poproś pan Fryderyka Riisa, on panu w tem pomoże!

KRAFT. Dobrze. (*Wychodzi*).

(*Tymczasem Fryderyk Ravn usiłował odciągnąć na bok Kampego i szeptał coś do niego*).

KAMPE. Głupstwo! (*Ravn szepnął mu znowu coś. Kampe się śmieje).* Wszyscy razem jesteście dzieciaki w porównaniu z moim synem! (*Ravn znowu coś szepce*). Szkodzić? Jemu nikt nie może zaszkodzić! On będzie naczelnym dyrektorem i ministrem w dodatku, choćbyście nie wiem co wymyślali. Hahaha! Gaudedeamus igitur —

LANGE (*do Przewodniczącego*). Słyszy pan o co tu chodzi?

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. Słyszę.

FRYDERYK RAVN. Ależ on wszystko popsuje! Gdzież jest Jan?

PREUSS. Ja zaraz —!

FRYDERYK RAVN. Wysłałem po niego Karola. Idź i ty!

PREUSS (*spotyka przy wejściu kilku panów, którzy chcą wejść*). Tu nikt nie może wejść! Tu nic niema do widzenia!

FRYDERYK RIIS (*który się jednocześnie ukazuje we drzwiach)*. Co? Chcesz nam zabronić wstępu? (*Preuss odchodzi, tamci pchają się do środka*).

KAMPE (*który wśród tego szukał po kieszeniach i z zadowoleniem od czasu do czasu spogląda po zebranych*). Wszyscy macie takie krzywe miny. Zróbcie tak jak ja! Podchmielcie sobie trochę a świat będzie się wam wydawał niebiańskim!

FRYDERYK RIIS. Brawo!

KAMPE. Nieprawdaż Lange? Ty jesteś uosobionem przeczeniem osi i kół. Ty jesteś $= \frac{^{n}(b_1 + b_2)^{r}}{R}$

INŻYNIEROWIE. Brawo! (*Oklaski*).

KARA (*przecisnęła się naprzód)*. Ale jakże to? Nie może go wuj wyprowadzić?

FRYDERYK RAVN. Niepodobieństwo! Czekamy na Jana.

KAMPE. Jestem wolnym człowiekiem, trala, trala! Mój syn mnie pomścił — my oba stawimy wam wszystkim czoło! Trala, trala!

KILKA GŁOSÓW. Słuchajcie!

KAMPE. Gdy on zostanie naczelnym dyrektorem, pójdziecie wszyscy z kwitkiem! (*Śmieje się*).

KILKA GŁOSÓW. Słuchajcie!

JAN (*ukazuje się*). Ojcze!

KAMPE. Otóż i on! Pokażcie mi drugiego takiego chłopca! To m ó j syn. Teraz stary Kampe weźmie się za czuby z naczelnym dyrektorem i z szefem biura i — i — tralala!

PRAWIE WSZYSCY (*jednogłośnie*). Słuchajcie! Słuchajcie!

JAN. Ależ! Ojcze!

KAMPE. No? — Cóż takiego? — Tak dziwnie na mnie patrzysz, chłopcze? (*Śmieje się*).

JAN. Zapomniałeś więc, ojcze —? (*Urywa. Pauza*).

KAMPE. Zapomniałem? — O czem? (*Nagle trzeźwieje zupełnie*). Zapomniałem? —

JAN. Ojcze!

KAMPE. Myślisz —? (*Krzyczy*). Zapomniałem... Tak, zapomniałem!

JAN. Ale jak się to stać mogło?

KAMPE. O mój Boże! Mój Boże! Jak się to stać mogło? Fryderyk Riis powiedział, że mam się stawić przed komisyą śledczą z powodu moich rachunków!

KARA. Fryderyk!

KAMPE. To było nad moje siły. To szczyt krzywdy! Nie mogłem się powstrzymać i szukałem zapomnienia. Ale nie pamiętałem o tobie, Janku, o tem, co t o b i e przyrzekłem! (*Głęboko wzruszony*).

KARA (*do Fryderyka*). Patrz, coś sprawił!

KAMPE. Mówiłem ci przecie: ze mną wszystko daremne. Zbyt nędzny jestem, by dawać przyrzeczenia.

JAN. Tu tyle ludzi — chodź — chodźmy —!

KAMPE. Nie, niechaj słyszą! Widzieli przecież hańbę moją. — Zdradziłem cię, mój zacny chłopcze. Pozwól mi to wyznać głośno w ich obecności!

JAN. Ależ ojcze!

KAMPE. Jutro będzie wiedziało całe miasto. Ja, twój własny ojciec wszystko ci popsułem. Ze wszystkich przeżytych chwil jest dla mnie ta najboleśniejszą.

JAN. Ojcze!

KAMPE. Ze mną wszystko napróżno. Porzuć mnie, zostań wielkim człowiekiem, jak ci przeznaczono. Nie przebywaj tu, gdzie ja zamykam ci wszystkie drogi.

JAN (*tuż przy nim*). Nie opuszczę cię nigdy!

KAMPE. Nie mów tego! Sza!

JAN. Rzeczywiście nie opuszczę cię nigdy.

KAMPE. Naprawdę, Janku? Naprawdę nigdy?

JAN. Nie, chociaż bym miał zostać niewiem jak wielkim!

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. Ależ dzielne chłopy, obaj!

KAMPE. Janku, możesz mi jeszcze ufać?

JAN. Teraz więcej niż kiedykolwiek.

KAMPE. W takim razie przyrzekam ci — nie, nie przyrzekam nic więcej! Ale proszę cię: bądź zawsze przy mnie! — Gdzieżeś się mi schował?

JAN. Miałem własne zmartwienie.

KAMPE. Ty? — Któż mógł tobie sprawić zmartwienie?

JAN. Chodź teraz, ojcze! Wracajmy do domu!

KAMPE. Dobrze. — Przebaczasz mi więc?

JAN. Przebacz ty, ojcze, że na chwilę zapomniałem o tobie! — Chodźmy! (*Wychodzą pod rękę*).

LARSSEN (*do Przewodniczącego*). Ale pan pozwoli: dwie sprzeczne rzeczy przecież nie mogą być jednocześnie prawdziwe?

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU KOLEJOWEGO. W tym względzie ma pan zupełną słuszność!

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Pokój u Riisów.

SCENA I.

RIIS czarno ubrany, ozdobiony orderem. RIISOWA też w czarnej, odświętnej sukni.

RIISOWA (*czyta*). Albowiem na serce twoje powinieneś baczyć! Dzieci ziemi zapominają o niem. Tyle rozmaitości odwodzi ich od tego: jeżeli odezwie się w nich jakiś wyrzut, dręczące niezadowolenie, szukają rozrywki lub zrzucają z siebie winę. W najlepszym razie usiłują sami wydostać się na dobrą drogę — chociaż właściwie sami z siebie nic nie potrafimy —

RIIS. Nadzwyczaj słusznie! Sami z siebie nic nie potrafimy, to się rozumie. Słuchajno, Kammo, już późno, zapewne długo zabawimy w kościele — możebyśmy coś przekąsili przedtem?

RIISOWA. Wiesz przecież, drogi mężusiu, iż zwyczaj każe przed komunią nie jeść wcale. Czuje się wtedy człowiek godniejszy tej świętej tajemnicy —

RIIS. Zresztą, jak chcesz. Ach, prawda! Gdybyśmy nie mieli pociechy religijnej przeciw niestałości i obłudzie świata! — Teraz w najlepsze dysputują w Radzie państwa — —

RIISOWA. Nie myślmy teraz o parlamencie, kochany! Co znaczą postanowienia ludzi?

RIIS. Masz słuszność, żoneczko, masz słuszność. To, coś mi czytała to doskonała książka. Postanowienia nas, ludzi, nic nie znaczą. Ach szczęśliwy, kto może wznieść się ponad wszystkie przeciwności!

RIISOWA. Czy masz na myśli życie przyszłe, mężu?

RIIS. Chociażby nie koniecznie śmierć ale spokój i ciszę.

RIISOWA. Rzeczywiście potrzeba ci wypoczynku, pracowałeś tak dużo. — Ale czy nie mógłbyś się podać o uwolnienie?

RIIS. Skądże ci to przyszło do głowy? Czy kto o tem wspominał?

RIISOWA. Ja nic o tem nie wiem.

RIIS. Nie ulega wątpliwości, że ktoś o tem mówił. Pomyśl tylko, przypomnij sobie... może Fryderyk?

RIISOWA. Fryderyk tyle obecnie mówi rozmaitych rzeczy — po prostu nie poznaję go zgoła.

RIIS. Stracił już zaufanie do ojca. Oto powód jego zmiany, kochanie.

RIISOWA. Nie mów tego! Fryderyk walczy obecnie z własnem sercem.

RIIS. Dajmy temu spokój w tej chwili; zajmijmy nasz umysł czemś uspakajającem.

RIISOWA. Może czytać dalej?

RIIS. O nie! Chociaż to jest znakomita książka!

RIISOWA. Może wolisz sam czytać?

RIIS. A czy to na nas nie czas? (*patrzy na zegarek*).

RIISOWA. Mamy jeszcze godzinę.

RIIS. Ale czy niema zwyczaju przychodzić nieco wcześniej?

RIISOWA. Bezwątpienia.

RIIS. W kościele można lepiej skupić myśli... Nie mogę się otrząsnąć. To przecież teraz rozgrywa się w parlamencie sprawa dzieła całego mojego życia!

RIISOWA. A właśnie wielkiem w tobie, mężusiu, wydaje mi się to, że w chwili, gdy cię prześladują i gnębią, ty spokojnie idziesz ku temu, co ci daje ciszę serca.

RIIS. Ale to smutne, że dzieci nam nie towarzyszą. Minister przecież pod każdym względem jest szczęśliwym człowiekiem. Cała jego rodzina przystępuje z nim do Komunii. — Doświadczam takiego uczucia, jak gdybym ja sam nic nie zdziałał, nic nie stworzył.

RIISOWA. Jakże możesz mówić coś takiego! Co do

ministra, to właściwie jej zasługa, nie jego; Magda jest o wiele silniejsza i energiczniejsza odemnie.

RIIS. Nie martw się tem, serce. Robiłaś, coś mogła. Sądzę, że dzieci powinny to były uczynić, chociażby przez wzgląd na ciebie.

RIISOWA. Ach, one przecież przywykły niewiele na mnie zwracać uwagi.

RIIS. Nie mów tego!

RIISOWA. Tak mi przykro, że nie mogę ich skłonić, aby w tych ciężkich czasach stanęły przy tobie.

RIIS. Ty jesteś mi wierną, Kammo. Ale nie płacz! Ludzie by poznali.

RIISOWA. Nie jestem taka zdolna, jak ty i dzieci.

RIIS. Jesteś dobra, serdecznie dobra. Wiele się u nas odtąd zmieni. Zastanawiałem się poważnie... nie zawsze byłem taki względem ciebie, jak zasługiwałaś. *(Podaje jej rękę).*

RIISOWA. Kochany mężu!

RIIS. Tylko nie płacz! Ludzie by to źle tłumaczyli. — Możebyśmy mówili o czem innem?

RIISOWA. Dobrze — ale dzieci idą!

SCENA II.

Poprzedni. FRYDERYK, KARA.

RIIS. Ach to dobrze, dzieci! Pójdziecie tedy razem z nami?

RIISOWA. Wiedziałam, że tak będzie! — Boże, jak ty źle wyglądasz, Karo!

RIIS. Tej nocy znowu nie spałaś? Czemże się to skończy, dziecko, skoro nie sypiasz wcale?

RIISOWA. Chodź z nami! To ci da spokój, którego tak potrzebujesz.

KARA. Chciałabym bardzo. Ale nie mogę. Teraz nie.

RIIS. Co ci się stało? Czyście co słyszeli? Jeszcze przecież nie mogło zapaść postanowienie?

FRYDERYK. W Radzie państwa? — Nie byłem tam.

RIIS. Nie byłeś więc rzeczywiście.

RIISOWA. Lepiej też, jeżeli Fryderyk będzie nam towarzyszył. Powinieneś teraz być podporą ojca, Fryderyku.
RIIS. Niech się nie kieruje względami na mnie! Jeżeli on nie czuje potrzeby dowiedzieć się, jaki przebieg ma sprawa jego ojca —
RIISOWA. Powiedz raczej towarzyszenia ojcu do kościoła!
RIIS. Masz słuszność.
RIISOWA. Trzeba przecież jakąś ofiarę ponieść dla ojca.
RIIS. Bynajmniej. Oświadczyłem, że nie chcę niczyjej ofiary. On może robić, co ma ochotę.
RIISOWA. To wspaniałomyślnie z twojej strony, mężu ale niedobrze dawać dzieciom zbyt wiele wolności.
RIIS. Miłość powinna być bezwarunkowa!
KARA. Właśnie o tem chciał Fryderyk pomówić z tobą, ojcze.
RIIS. O czem?
KARA. O swojej miłości! — Do Anny.
RIIS. Myślałem, żeście...
RIISOWA. Cicho Karo — cicho!
RIIS. Teraz z tem przychodzicie?
RIISOWA Nie powinnaś tego była —
FRYDERYK. Myśleliśmy, Kara i ja...
RIISOWA. Cyt!
FRYDERYK. Teraz, kiedyście się oboje przygotowali do —
RIIS. Więc musicie nam przeszkadzać? Nieprawdaż?
RIISOWA. Rzeczywiście, dręczycie ojca.
RIIS. Czy sądzisz, że mało mi ciąży na duszy? Sądzisz, że to tak łatwo dla mnie, kochany Fryderyku, teraz, właśnie teraz zebrać myśli na uroczystą chwilę pod naporem prześladowań, które może w tym samym czasie, w tej samej chwili —!
RIISOWA. Ty jesteś przecie rozsądny, Fryderyku — przecież uwzględnisz...
RIIS. Ach Boże!
FRYDERYK. Myślałem, że właśnie dziś łatwiej do was

trafi serdeczne słowo o tem, co mnie najgłębiej przejmuje.

RIIS. I to jest ta sprawa.

RIISOWA. A więc nie sprawa ojca?

RIIS. Kochana, nie mów o mnie!

FRYDERYK. Ojcze, jeżeli ze mnie ma jeszcze kiedykolwiek być coś, muszę zacząć od tego! To mi się stało jasne!

RIIS. Tak? Od tego?

RIISOWA. Od ojca — od tego, by go kochać i słuchać powinieneś rozpocząć!

RIIS. Ach to obojętne! — A co do tej miłostki — myślisz, że p o t e m będzie co z ciebie? Boże litościwy, właśnie wtedy n i c z ciebie nie będzie! Wtedy zepsujesz sobie karyerę, zwichniesz całą przyszłość! Jakaś szwaczka!

KARA. Ale zacna dziewczyna, ojcze.

RIIS. Zacna? Ona? Dziwię ci się Karo! Czyż może zacna być t a k a, która -- (*spojrzawszy na żonę cicho*). Prawda! (*Głośno*). T a k a nie może być zacną, moje dziecko, która się chce wcisnąć do szlachetnej rodziny.

FRYDERYK. Nie, nie chce tego.

KARA (*jednocześnie*). Nie, tego nie chce właśnie. Zamierza wyjechać do Ameryki, do krewnych. Pod żadnym warunkiem nie chce być przyjętą z litości. To zacna dziewczyna.

RIIS. Tem lepiej. O cóż więc chodzi? Jeżeli ona sama nie chce.

RIISOWA. I mnie się tak zdaje. Skoro wyjeżdża?

FRYDERYK. Ale j a chcę! I aby ją odwieść od zamiaru, muszę jej powiedzieć: Moi rodzice nie mają nic przeciw tobie. Moi rodzice są dobrzy. — Gdybyście wiedzieli, jak my się kochamy! Nie umiem wam opisać.

RIIS. Przedewszystkiem miarkuj się Fryderyku!

KARA. Ale j a wiem, która ich teraz widziałam razem, ja wiem, jak się kochają.

RIIS. Jesteś taka rozgorączkowana, Karo. Idź raczej się położyć. — Nie przeszkadzajcie nam teraz dzieci!

Jeżeli to możecie odłożyć, porozmawiamy raczej kiedy indziej.

RIISOWA. Ojciec i matka muszą iść do kościoła. (*Podchodząc do Riisa*). Zresztą, myślę, kochany, że skoro się tak bardzo kochają, to —? Boże mój, przecież miłość to największa rzecz w świecie.

RIIS. Fryderyk mówi, że ją kocha, dobrze! Fryderyk zapewne także przekonany jest, że nas kocha?

RIISOWA. I kocha nas też.

RIIS. A nie poszedł do parlamentu dowiedzieć się, co słychać ze sprawą ojca. Taka jego miłość.

FRYDERYK. Ojcze!

RIIS. Nie mamy się co niepokoić jego zapewnieniami miłosnemi, moja droga, chociażby odnosiły się do kogoś innego.

FRYDERYK. Ojcze!

KARA. Ach, nie tłumacz sobie w ten sposób!

RIIS. A jakże sobie mam tłómaczyć? Mamże szacunek okazywać dla stosunku tego rodzaju, jak ostatni?

FRYDERYK. Ojcze!

RIIS. Pozwól, że ja ci przynajmniej prawdę powiem!

FRYDERYK. Gdyby to było prawdą!

RIIS. Co mówisz? (*Pauza*).

RIISOWA. Drogi Fryderyku, odejdź teraz!

KARA. Ach ojcze, ja tego wszystkiego nie zniosę dłużej!

RIIS. Czego? — Chora jesteś — oto wszystko!

KARA. Chora, prawda — ale chora jestem, bo nie możemy dojść do tego, abyśmy byli z sobą szczerzy...

RIIS. Patrzcie! patrzcie! znów wraca stara historya.

RIISOWA. Kochany mężu!

RIIS. Dobrze, dobrze, postaram się być cierpliwym. — Wierz mi, Karo, że twoje gadanie o prawdzie to czysty frazes.

KARA. Frazes?

RIISOWA. Ależ mężu —!

RIIS. No, no, zechciejcież mnie dobrze zrozumieć! Nie wiem od czego zacząć, aby wam to wytłómaczyć... Jak widzicie, doszedłem w życiu dość daleko. Nie-

prawdaż? Nie zdaje się wam, że muszę się na tem cośkolwiek rozumieć, jak się to robi?

RIISOWA. Naturalnie, kochany!

RIIS. Sądzicie może, że doszedłem do czegoś dlatego, bom chodził po ludziach i opowiadałem im prawdę? Ha! dalekobym zaszedł!

KARA. To też ja nie o tem myślę.

RIIS. O czemże więc ty myślisz? — Czyż wciąż kręcić się będziemy w kółko?

KARA. Mnie się zdaje, że jest w nas coś, co cierpi na—

RIIS. Cóż to znowu ma znaczyć?

KARA. Ach, ja tego nie umiem wytłómaczyć... teraz nie! Jestem taka... ach, taka jestem... (*W najwyższem rozdrażnieniu*).

RIISOWA. Ale ja potrafię, mężu. Rzeczywiście, nasze życie nie odpowiada wcale zasadom prawdy i miłości.

RIIS. Naturalnie, jeżeli jest coś niejasnego, musisz ty swoje trzy grosze wścibić! Najlepszy czas!

RIISOWA. Mężu!

RIIS. Przepraszam cię! — Zdaje mi się, że co do tej gadaniny o prawdzie, sami nie wiemy o czem mówimy.

RIISOWA. Przeciwnie!

RIIS. Daj mi skończyć! Jestem matematykiem, do ścisłości przywykłym — czy sądzicie, że istnieje ktoś zupełnie pozbawiony fałszu?

RIISOWA. Rozumie się drogi mężu,

RIIS. Czyś zwarjowała? — Przepraszam! — Ale weź pod uwagę jakikolwiek stosunek. Zacznijmy od najwyższych: weźmy szczyt to jest króla i nasz stosunek do niego. On przemawia do nas, my do niego. Gdyby tak on powiedział nam wszystko, co o nas myśli? lub my jemu wszystko, co by nam przyszło na myśl? Tego nawet ustawa zabrania. To jest karane. Naturalnie. A on? Jeżeli chce nam coś więcej powiedzieć ponad komplementa, musi to uczynić za pośrednictwem ministrów — ci nie powiedzą za dużo. — Weźmy inny przykład: Kościół...

RIISOWA. Ten chyba jest szczery.

RIIS. Bezwątpienia. Wszystko jest szczere. Gdyby jednak ksiądz, zamiast mówić nam. co nakazuje Pismo św. i jego przysięga, zdradzał przed nami swoje wątpliwości, (a któż ich nie ma?) ładna byłaby historya? chociaż zupełnie prawdziwa! A my, gdybyśmy tak zaczęli jedno drugiemu nasze wątpliwości w twarz ciskać? Powstałaby taka abrakadabra na całym świecie, żeby się własnych słów nie słyszało.—Nie, niech będzie, jak jest, jak było — trochę mniej, trochę więcej... Chodzi tylko o to, by szło. J e ż e l i s i ę c h c e, żeby wszystko było dobrze, j e s t dobrze!

KARA. Boże, ojcze —!

RIIS. Prawda, tyś chora. Ale czy nie mam słuszności? No, a my sami?

RIISOWA. My kochany mężusiu, przecież chyba zawsze sobie mówimy prawdę?

RIIS. Czy tak? rzeczywiście? Gdybym tobie prawdę powiedział, moja droga, zupełną, bez ogródek prawdę— nie żylibyśmy z sobą ani dzień dłużej —!

RIISOWA. Mężu, co ty mówisz?

KARA (*jednocześnie*). Ależ, ojcze,

RIIS. W z g o d z i e chciałem dodać. I vice versa! Nie dlatego, abyśmy ty albo ja byli gorsi od innych. Może jesteśmy nawet lepsi od przeważnej części ludzi. Ale gdyby się miało w s z y s t k o m ó w i ć, zapadł by się świat w gruzy, rodzina, społeczeństwo, państwo, kościół, wszystko by się rozpadło! Rzeczywiście stalibyśmy się niemal zwierzęciem, ono przemawiałoby z nas najczęściej.

KARA. Posłuchajże mnie, ojcze, nie to miałam na myśli!

RIISOWA. Nie o tem myślałyśmy.

RIIS. Tak, tak, nie myślałyście, skoro się wam dobrze wytłumaczyło — naturalnie! A teraz może pojmujecie, co tkwi w tym zwodnym frazesie? — Życie tak dalece odbiegło od polegania na prawdzie, raczej wszystkie stosunki zdają się być ugruntowane na milczącej zgodzie niedopuszczenia do słowa czystej prawdy. Prawdziwszym być, niż pozwala zwyczaj, jest równie złe,

jak kłócić się; to brak wychowania, głupota może nawet niebezpieczna —

KARA. Pozwoli ojciec, że odpowiem —

RIIS. Przepraszam, daj mi skończyć! Sztuką, wielką sztuką życia jest umiejętność balansowania, manewrowania — hm, manewrowanie to wyraz nadużywany więc powiedzmy umiejętność balansowania!

RIISOWA. Mężu —!

RIIS. Mój Boże, ja przecież tyle lat miałem do czynienia z przełożonymi i podwładnymi, muszę więc coś o tem wiedzieć! Główna rzecz: nie wyróżniać się — naturalnie złego także nic nie robić; przedewszystkiem bowiem jestto głupota coś złego popełnić, pominąwszy już, rozumie się, że jest przeciwne prawu —

RIISOWA. I chrześcijaństwu!

RIIS. Tak i chrześcijaństwu, bezwątpienia! Najważniejsza rzecz: działać zręcznie, przyzwoicie, być ludzkim — Ot!

FRYDERYK. Czy wolno zapytać, jaka myśl, jakie zastósowanie tej zasady?

RIIS. Myśl, zastósowanie jest następujące: popełniłeś głupstwo — (*podchodząc ku niemu*) było ono rzeczywiście „prawdziwe“, wierzę ci.

FRYDERYK. Ojcze!

RIIS. Byłoby też bardzo „prawdziwie“ z tą osobą się ożenić; i o tem nie wątpię!

FRYDERYK. Ojcze, proszę cię!

RIIS. Ale byłoby to nowe głupstwo, to znaczy, zawiodłoby cię znów tylko w obłoki, w krainę złudy. A tam trudno utrzymać równowagę.

RIISOWA. Teraz już najwyższy czas iść do kościoła.

RIIS. Masz słuszność! — No — właściwie nie powinniśmy byli tych spraw poruszać, ale może to korzystniej! Myśli bodaj na chwilę się oderwały. Ach tak! Chodź, Fryderyku — pomóż mi włożyć zarzutkę! — a potem zajdź do parlamentu i dowiedz się, czy można się wkrótce spodziewać rozstrzygnięcia sprawy. — Mam nadzieję, iż okaże się, że moi przyjaciele znajdą

się w większości. Powiedz szczerze, czy sądzisz, że takby się rzecz miała, gdybym był tak rozpoczął życie, jak ty swoje chcesz rozpocząć? Podnieś surdut trochę w górę... tak!

RHSOWA. Chodźmy już, kochany!

RHS. Już, już, idę! Ach, człowiek niema nawet czasu przygotować się należycie. Bądźcie zdrowe, dzieci! Bóg z wami!

KARA (*W błędnem pomieszaniu*). Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

RHS. A to co?

RHSOWA. (*jednocześnie*) Karo!

FRYDERYK. Przewidywałem to! (*Chwyta ją w objęcia*).

KARA. Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

ODSŁONA.

Pokój u Kampego.

SCENA III.

JAN, pracuje przy stole. Wchodzi NACZELNIK BIURA LARSSEN.

LARSSEN. Przepraszam!

JAN. Proszę! (*Wstaje*). Jaki pan zgrzany! Czy mogę—?

LARSSEN. Nic, nic! Dziękuję!

JAN. Chociaż wody szklankę?

LARSSEN. Nie, dziękuję.

JAN. Proszę usiąść!

LARSSEN. Dziękuję, ja zaraz muszę — (*pauza*).

JAN. Może pan życzy sobie pomówić z moim ojcem?

LARSSEN. Nie! (*pauza*).

JAN. Był pan na galeryi w parlamencie?

LARSSEN (*po chwili namysłu*). Tak.

JAN. Tam jeszcze zapewne nic nie załatwiono?

LARSSEN. Nie.

JAN. Ale to przecież nie moja wina?

LARSSEN. Tak? Nie? — Czy mógłbym zobaczyć sprawozdanie francuskie, wiarogodne francuskie sprawozdanie z przemowy pana dyrektora w Paryżu na wielkiem zgromadzeniu kolejowem?

JAN. Przytoczyłem je w swojej książce.

LARSSEN. Wiem o tem. Ale tu chodzi o dokument autentyczny. To jest o ile wogóle jest wiarogodny.

JAN. Przypadkiem właśnie przed chwilą miałem w ręku ten numer — (*podchodzi do stołu naprzeciw stojącego*).

LARSSEN (*idąc za nim*). Mógłbym obejrzeć?

JAN. Proszę!

LARSSEN. Pozwoli pan, że usiądę?

JAN. Ależ proszę!

LARSSEN. Dziękuję! (*Siada*). Więc to jest owo pismo? (*Ogląda okładkę*). Francuskie? Tak, Paryż. Hm. (*Zagląda do spisu i przerzuca kartki wciąż porównywując.*)

JAN (*do siebie*). Zdaje mi się, że on porównywa czcionki! Czyżby przypuszczał, żem sfabrykował artykuł? (*Głośno*). Tam, widzi pan — zakreślone ołówkiem —

LARSSEN. Widzę.

JAN. Chce pan może przekonać się jak przełożyłem? (*Podaje mu swoją książkę*).

LARSSEN. Dziękuję.

JAN. Stronica 49, na dole, tam gdzie zakreślono.

LARSSEN. Już mam. (*Porównywa*).

JAN. Znalazł pan błąd jaki?

LARSSEN. Nie jeszcze.

JAN. Sądzę, że i później pan nie znajdzie.

LARSSEN (*zamyka książkę z głębokiem westchnieniem i bierze znowu w rękę czasopismo*).

JAN. Reszty nie ma pan potrzeby czytać. Chodzi przecież tylko o to, co zakreślone. Ale to wystarczy.

LARSSEN. Gdyby było prawdziwe — byłoby rzeczywiście wystarczające.

JAN. Jakto, gdyby było prawdziwe? — Więc pan jeszcze nie wierzy?

LARSSEN. Nie!

JAN. Ależ kochany panie naczelniku. Przecież pan

widzi, że sprawozdanie było spisane od razu, na miejscu i przejrzane przez samego mowcę.

LARSSEN. To jest tu napisane, tak.

JAN. A pan mimo to nie wierzy?

LARSSEN. Nie.

JAN. Pan przypuszcza, że numer sfałszowano cały lub częściowo? Lub sądzi pan, że sprawozdanie podsunięto?

LARSSEN. Tego nie wiem. — Ale wierzę naczelnemu dyrektorowi.

JAN. Winszuję!

LARSSEN. Powiedziałbym, że jest zbyt moralny, honorowy, uczciwy, aby coś podobnego popełnić ale te słowa użyte w tem znaczeniu byłyby obrazą dla niego. Ograniczę się więc do powiedzenia, że jest za rozumny, stanowczo za rozumny, by popełnić coś podobnego. To jest najrozumniejszy ze znanych mi ludzi!

JAN. Rozumny jest. Ale gdyby pan —

LARSSEN. Nie wdaję się w żadne przypuszczenia. Ani z panem ani z nikim innym! Wierzę w to. w co wierzę.

JAN. A nie w to, co pan widzi?

LARSSEN. Nic nie widziałem.

JAN. To paradne! Jeżeli jego słowa, jego własne słowa, przez niego sprawdzone słowa

LARSSEN. Tych nie widziałem. Gdyż zanimbym powiedzieć mógł, żem coś widział, musiałbym to z b a d a ć dokładnie. — Pożyczy mi pan zeszytu?

JAN. Z przyjemnością.

LARSSEN. Dziękuję! (*Bierze*).

JAN. Jednak — pod pewnym warunkiem —

LARSSEN. Nie. Żadnych warunków nie przyjmuję. Nie daję żadnych przyrzeczeń. (*Kładzie numer*).

JAN. Przyrzeczenie nie jest uciążliwe. Chodzi tylko o szczere przyznanie się, gdy pan dojdzie do wniosku, do którego ja doszedłem.

LARSSEN (*biorąc znów zeszyt*). Nie przyrzekam nic takiego, co się samo przez się rozumie! Nie chcę absolutnie nikogo oszukiwać — ani innych ani siebie samego. Żegnam pana. (*Zabiera kapelusz*).

JAN. Jestem o tem przekonany, panie naczelniku.

LARSSEN. Nie potrzebuję pańskich upewnień! (*Wychodząc, spotyka się we drzwiach z Karolem Ravnem*).

SCENA IV.

Ciż. KAROL RAVN.

KAROL. A to mi zderzenie dwóch zasad,—ha, ha, ha!

LARSSEN (*wracając*). Wypraszam sobie wszelkich obelg — a zwłaszcza ze strony pana!

KAROL. Ależ na Boga! Obelga? Ha, ha, ha!

LARSSEN. Nie jestem żadną zasadą. Że posiadam dość panowania nad sobą. aby postępować według stałych norm, nie wypływa z tego, bym miał być zasadą. Jestem żyjącym człowiekiem. (*Odchodzi*).

KAROL. A więc dożyłem i tego figla! Ha, ha, ha!

JAN (*śmieje się również*). Ha, ha, ha!

KAROL. Cóż zaszło?

JAN. Oto ja chciałbym zapytać. Wszedł tu niemal bezprzytomny. Wracał z parlamentu.

KAROL. Widziałem go tam. A czegóż tu chciał?

JAN. Obejrzeć francuskie pismo, w którem —

KAROL. Aha! Już rozumiem.

JAN. Z czem to mogło mieć coś wspólnego?

KAROL. Z mową przewodniczącego komitetu kolejowego.

JAN. Ach, tak! Ale cóż tam więcej zaszło? Opowiadaj pan!

KAROL. Właśnie z tem przychodzę.

JAN. Skończyło się?

KAROL. Daleko jeszcze do końca! Mowa przewodniczącego komitetu wywołała prawdziwą sensacyę. Do owego przyjęcia inżynierów u dyrektora był naszym przeciwnikiem. Ale wtedy zmienił przekonanie.

JAN. Wtedy?

KAROL. Po prostu pod wrażeniem pańskiego stosunku do ojca. Jeżeli niebezpieczeństwem małych społeczeństw jest, że wszystko sądzi się osobistem wra-

żeniem, bywa to również i ich dobrą stroną. Śmiem twierdzić, że on dopiero wtedy zabrał się do gruntownego zbadania całej sprawy. Informował się u mnie, więc mogę poświadczyć.

JAN. Dziękuję panu. Pan mnie rzeczywiście wspiera w rozmaity sposób.

KAROL. No, dziś mnie kilkakrotnie wypominali w parlamencie — szydzono ze mnie okrutnie, haha! Ale mimo to byłto najpiękniejszy dzień w mojem życiu. Moja żona także była. Dwie godziny stała na dworze w tłumie!

JAN. Dzielna kobieta!

KAROL. Prosiła mnie, bym panu od niej oświadczył ukłony i powiedział, że przecież i w małych społeczeństwach można mówić prawdę! (*Śmieje się*). Chodzi tylko oto, żeby się nie zrażać prześladowaniem! Ach, jaka ona była uszczęśliwiona!

JAN. Ale przecież jeszcze niema decyzyi.

KAROL. Nie, lecz senzacye następowały jedna za drugą. O tej jednej opowiedziałem już ale drugą była mowa — zgadnij pan czyja?

JAN. Chyba nie —?

KAROL. Właśnie stryja Fryderyka!

JAN. Rzeczywiście?

KAROL. Naturalnie zaczął od ironicznych zaczepek obu partyj. Cisnęli się wszyscy koło niego, aby się zabawić. A wie pan, co on zrobił? Krótko, sucho przyznał się do wszystkiego...

JAN. Co pan mówi?

KAROL. Że był najgorliwszym propagatorem nowego systemu nawet za granicą.

JAN. Tak powiedział? Publicznie?

KAROL. Powiadam panu cisza zapanowała jak w kościele. Dotąd przecież ani żywa dusza o tem nie wiedziała. — Mówił, że co uczynił bezimiennie, musi obecnie wyznać publicznie; gdyż cały system jest błędem, kosztownym błędem, tem kosztowniejszym, im dłużej jest w użyciu. — Ogromne zdumienie!

JAN. Nie dziwię się! Szwagier systemu!

KAROL. Przeciw systemowi! Piorun z jasnego nieba! — Dlaczego — mówił dalej — wcześniej nie złożył tego wyznania? Gdyż powątpiewał o skuteczności... Potem przeszedł w kpiny. Mówił, że pociechą dla niego jest to, że ze swoim grzechem milczenia znajduje się w tak licznem i wyborowem gronie!

JAN. Ha, ha, ha!

KAROL (*jednocześnie*). Ha, ha, ha! — Co prawda — ciągnął dalej — grzech ten za dużo państwo kosztuje ale państwo jest przecież od tego, aby pokutowało za grzechy swoich poddanych.

JAN. Ha, ha, ha!

KAROL (*jednocześnie*). Ha, ha, ha! Po kilku takich „bombach“ zakończył nagle i niespodziewanie, wyszedł i nie pokazał się więcej.

JAN. A to wypadek!

KAROL. Przyszło więc p r z e c i e ż do w a l k i — nieprawdaż?

JAN. Naturalnie. Mam ochotę nawet powiedzieć, że obecnie mniejsza o to, jak wypadnie decyzya parlamentu. Zyskaliśmy więcej!

KAROL. Na włos mojej żony słowa! Na włos! A to ciekawe!

JAN. Boże! co się stało?

KAROL. Jakto — Kara?

SCENA V.

P o p r z e d n i. KARA bez kapelusza w takim stanie, jak gdyby po swoim ataku obłędu co dopiero zerwała się z łóżka czy z kanapy. Później FRYDERYK RIIS.

KARA. Żeby mnie nikt nie zobaczył. — Przekradłam się tu. — Mama myślała, że śpię. — Chodź prędko, Janie!

JAN. Dokąd?

KARA. Daleko... byle stąd... daleko! Chodź!

JAN. Dobrze.

KARA. Bo ja nie chcę wracać do domu. Nie chcę.

JAN. Nie chcesz?

KAROL (*daje znaki Janowi, pokazując najpierw na siebie, potem na Karę a wreszcie na stronę, w której znajduje się jej mieszkanie i wybiega*).

JAN. Jesteś chora?

KARA. Tak, chora jestem; — tu mnie tak boli..... a najbardziej tu... o, tak boli, tak boli!

JAN. Może by lepiej zaczekać, aż ci się polepszy?

KARA. Nie, w domu mi się nie polepszy. Nie. — Oni powiadają, że mi brak snu. Ale to nie to. Nie. — Ja już od dawna wiem, co to jest. Tylko nie chciałam mówić. Tobie mogę powiedzieć ale żeby nikt nie słyszał.

JAN. Nikt!

KARA. Pamiętasz, jak byliśmy mali i razem odpływaliśmy daleko?

JAN. Pamiętam.

KARA. Nie moglibyśmy tak samo teraz zrobić? Chodź!

JAN. Karo!

KARA. Dobrze, żeś mnie wziął za rękę. O jak to miło! — Zupełnie jak wtedy, gdyśmy byli dziećmi. Myślę o tem co dzień. A ty nie?

JAN. Karo!

KARA. Popłyńmy daleko, bardzo daleko i będzie zupełnie, jak wtedy.

JAN. A nie zechciałabyś spocząć nieco? Jesteś zmęczona.

KARA. Bynajmniej. Pozwól mi tylko głowę trochę.... tak dobrze, ach, jak mi dobrze! Teraz jestem spokojna Janie.

JAN. Rzeczywiście?

KARA. Tak. — Bo źle mi było. Ach ta kłótnia, ta kłótnia!

JAN. Nie chcesz spocząć?

KARA. Odpoczywam teraz.

JAN. Usiądę a wtedy będzie ci wygodniej.

KARA. Być może. Lecz nie zapominaj, że musimy jechać!

JAN. Dobrze, zaraz! — Tu możesz usiąść.
KARA. Nie, ty musisz najpierw.
JAN. I owszem (*Siada*).
KARA. A ja na twoich kolanach.
JAN. Dobrze!
KARA. Ach, jak to miło! — Biedna mama!
JAN. Możeby kogoś do niej posłać?
KARA Nie. — Biedna, biedna mama!
JAN. Tak, ona jest dobra.
KARA. Ach, ta kłótnia! — Czy kochasz mnie, Janie?
JAN. Nigdy żadnej innej nie kochałem.
KARA. A dlaczego tak długo bawiłeś?
JAN. Trzeba się było tak wiele uczyć.
KARA. Nie przyszedłeś do nas po powrocie.
JAN. Tak, to było niegrzecznie z mojej strony.
KARA. Ach, bardzo niegrzecznie — bardzo niegrzecznie.
JAN. Zasnęła!
FRYDERYK RIIS (*ukazuje się w głębi i chce wejść; Jan daje mu znak, aby pozostał na dworze*).
KARA. Co to, Janie?
JAN. Zdawało mi się, żeś zasnęła.—Nie dobrze ci leżeć?
KARA. Owszem — bardzo dobrze (*Pauza*).
FRYDERYK. Śpi?
JAN (*przytwierdza głową*).
FRYDERYK. Chwała Bogu! (*Zbliża się cicho i obie dłonie wyciąga do Jana, który mu podaje wolną rękę*).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Pracownia naczelnego dyrektora w jego domu nad brzegiem morza.

SCENA I.

RIIS (*odprowadza niezmiernie grzecznie jakiegoś pana do drzwi. Zwolna wraca i staje z szeroko rozstawionemi nogami*). A zatem jego ekscellencya ma wątpliwości! Przeczuwałem to. — Oczy jego zdawały się wyraźnie pytać, czy właściwie ja sam jestem zupełnie pewny swego? (*Szybko zsuwa nogi i chwilę przechadza się po pokoju*). Wątpliwości? Tak, wątpić! O czemże na świecie nie można by wątpić?

W biurze ta sama historya. Zupełnie takie same oczy! Ręczyli za system, hultaje. Teraz są w kłopocie. Swoją własną wiarę stracili — i karmią się moją. Pijawki! Gdzież ci, którzy mi mieli być oparciem? Tak, Larssen! Ten wierzy! — A skoro taka silna, taka skrupulatna natura, jak jego, wierzy, musi przecież coś na tem być! M u s i! We mnie odrazu wzbudziło się powątpiewanie. Tak, rzeczywiście! Ale skoro inni byli tak niewzruszenie pewni...

Czy to nie ciekawy przebieg wypadków? Zanim się opatrzono, stało się to wszystko sprawą narodową a ja wielkim człowiekiem! Wątpliwości wyłaniały się od

czasu do czasu — prawda! Ale weszło w zwyczaj w i e r z y ć — tak tedy wierzyliśmy wszyscy, śmiejąc się z wszelkich wątpliwości! To były piękne czasy! O tak. —

A potem? Potem zjeżdża jakiś chłopak z Ameryki, zawiązują spółkę ze starym pijanicą — i to wystarcza — istna bajka! Wszelkie chloroformy na nic, do walki przyjść musiało a po niej — stoję, jak most ponad suchym lądem". (*Żywo zsuwa nogi*). Alež paskudne przyzwyczajenie mi zostało!

Cóż mnie pozostaje do zrobienia obecnie? Postępować jak dotąd? Udawać obojętność? Niepodobna! Te przeklęte oczy prześladują mnie. Gdybym przynajmniej sam mógł wierzyć! — Larssen wierzy. — A jeśli taki Larssen wierzy, musi to być coś, w co można wierzyć! Ja przecież dowiodłem, że tak jest. Naturalnie, że dowiodłem — a więc dość już tego!

Larssen to kompletny człowiek. Larssen wierzy w siebie — to sztuka. Tak, to wielka, wielka sztuka!

Czemu do kaduka ja tego nie potrafię?

To przecież ja zestawiłem Larssenowi dowody, te same dowody, w które on wierzy.

Tak, ale ja w nie już nie wierzę.... Nie.... tak.... nie.... nie wierzę.... nie zupełnie.... Coś jest, co.... Ależ to straszne, znowu rozstawiłem nogi!

„Most ponad suchym lądem".... Zdaje mi się, że ludzie przypatrują się moim nogom od czasu, gdy to napisano. (*Prędko zsuwa nogi i przechadza się*). Ach, gdybym posiadał kogoś, ktoby we mnie wierzył!

Kamma? — Ona! Dobra, zapewne — (*wzdycha*) — ale.... Marya! Tak, ty byłabyś tą! Co bym ja sobie wtedy robił z wszystkiego! Ty byłaś taka rozumna, taka silna.... Tyś we mnie podtrzymywała dobre strony. Nie byłoby doszło do tego!.... Bo ci krewniacy.

Bóg niech strzeże każdego od wpadnięcia w ręce entuzyastów! To najwięksi zdrajcy — a w dodatku nazywają to uczciwością.

Nawet własne dzieci.... Fryderyk! Ach, Fryderyk!... On wpatruje się we mnie oczyma zranionej sarny. On wątpi — i on także wątpi..... a ja mu nic nie mogę dopomódz! — Zatruli go! gdyż naturę ma pokrewną im, tym zdrajcom, złodziejom. (*Ktoś puka*). Chwała Bogu, ktoś idzie! — To straszne być tak samym! Proszę!

SCENA II.

RIIS. LARSSEN. FRYDERYK RAVN.

RIIS. Larssen! A to pan! To ładnie z pańskiej strony! Właśnie do pana tęskniłem! No, parlament oświadczył się przeciw nam. Ale — nie zasadniczo.

LARSSEN. Nie zasadniczo.

RIIS. Człowiek, który pracuje, posiada dzielnych sprzymierzeńców, Larssenie a jeżeli się przytem ma rzecz — rzecz, w którą się w i e r z y —!

LARSSEN. Tak — właśnie o to chodzi!

RIIS. O to! (*Spostrzega Fryderyka Ravna, który wszedł tuż za Larssenem*). Ty? — ty tu?

RAVN. Tak, a dlaczegóżby nie?

RIIS. I jeszcze ośmielasz się pytać? Nie, to przechodzi wszelkie granice!

RAVN. Ah tak! zdaje mi się, że właśnie obecnie mam większe prawo tu przyjść niż kiedykolwiek.

RIIS. Czy tak? Ależ —

RAVN. Gdyż obecnie sprowadziłem stosunki prawdziwsze. — Skoro jednak sprawę traktujesz tak pompatycznie, w takim razie mogę odejść.

LARSSEN. Ośmieliłem się prosić pana inspektora, aby mi zechciał towarzyszyć.

RIIS. Pan, Larssenie? — Cóż to ma znaczyć?

RAVN. Mieliśmy naradę, Larssen i ja nad — możesz się domyślić nad czem?

RIIS. Nie domyślam się.

RAVN. Nie? — W takim razie przedłożymy papiery!— A mianowicie w obóz wkradły się wątpliwości i chcielibyśmy twojego wyroku w tej sprawie — Czy możemy usiąść? (*Chce rozłożyć papiery*).

RIIS. Wyznaczyłeś jakieś zebranie w moim domu? Rodzaj przesłuchania?

RAVN. Mówiłem panu, Larssenie, że on to tak zrozumie.

RIIS. Co to ma znaczyć?

LARSSEN. Polegałem na humanitarności... względności, którą mi pan dyrektor zawsze okazywał... Pańska bezstronność...

RIIS. O cóż więc chodzi? Czy to coś takiego, co pan, specyalnie pan, kochany Larssenie, chce usłyszeć odemnie — to pan przecież wie, gdzie mnie szukać.

RAVN. Jestto kwestya sporna, jak się łatwo domyślisz.

RIIS. Chciałbym, by pan Larssen mówił.

RAVN. To ma znaczyć, że mam odejść?

RIIS (*po krótkim namyśle*). Jesteś bratem mojej żony — a jeżeliś ty o tem zapomniał, godzi się, bym ja przez wzgląd na nią, pamiętał.

RAVN (*Na stronie*). Ślicznie powiedziane!

LARSSEN. Po tych słowach poznaję pana, panie dyrektorze! Nigdy pana nie widziałem innym. — Dlatego odważę się mówić z panem otwarcie.

RIIS. Dobrze, uczyń to pan, Larssenie. My obaj zawsześmy się przecież trzymali razem.

LARSSEN. Tak, panie dyrektorze. Byłem też z tego dumny. Gdyż w panu — niechaj mi to wolno powiedzieć — widziałem człowieka... człowieka, który stał na wysokości tego, co my nazywamy techniczną wiedzą naszych czasów.

RIIS. Zawsze mnie pan przeceniał, Larssenie.

LARSSEN. A mimo to był pan zawsze taki grzeczny... Tak... ja... pan pozwoli mi otwarcie wyznać, gdyż jestem niezwykle... jakby to powiedzieć?... jestem wytrącony ze zwykłej kolei... miałem bezgraniczne zaufanie do pana, panie dyrektorze.

RIIS. Ja nie mniejsze do pana, kochany Larssenie.

LARSSEN. Dziękuję panu z całego serca... ale nie zasłużyłem...

RIIS. I owszem!

LARSSEN. Przepraszam! Ja wiem lepiej! Tak, — ja nie jestem wcale silnym człowiekiem. Zawsze musiałem mieć jakieś oparcie... pan, o tyle wyższy od wszystkich, nie wie nawet o istnieniu czegoś podobnego.

RIIS. Nie mów pan tego, Larssenie!

LARSSEN. Jeżeli co na świecie budziło we mnie podziw, to ten spokój duszy, który pan zawsze okazywał, gdy mnie dręczyło zwątpienie.

RIIS. Pana?

LARSSEN. Że też pan w swoim własnym domu potrafił urządzić zgromadzenie opozycyi!... Ta uśmiechnięta pewność siebie... tak, uśmiechnięta, istotnie uśmiechnięta. — To znaczy posiadać wiarę! mówiłem sobie.

RIIS. Ale proszę mi powiedzieć, Larssenie, **pan** tedy nie wierzy?
LARSSEN. Pozwoli pan być szczerym, panie dyrektorze?
RIIS. Proszę. Zresztą pan nim zawsze byłeś.
LARSSEN. Tak, to znaczy, o ile mogłem. Gdyż często nie wiedziałem, co sądzić o sobie, czy ja wierzę, czy nie.
RIIS. Pan?
LARSSEN. Ale nabierałem otuchy. patrząc na pana, panie dyrektorze!
RIIS. Na mnie? (*Zapominając się zupełnie*) Nie trzeba było tego czynić Larssenie!
LARSSEN. Boże, dlaczego nie?
RIIS (*tracąc spokój całkowicie*). Nie, bo to ja właśnie w panu pokładałem ufność.
LARSSEN (*przestraszony*). We mnie? — Pan?
RAVN. Zaczyna być zabawne!
RIIS. Nie! — to nie może być! — To byłoby najgorsze! (*Wybucha*). Więc z pana prosty oszust, człowiecze!
LARSSEN! Co... co.. pan mówi?
RIIS. Jakże mam nazwać to, że pan w ludzi, we mnie wmawia, iż wierzy w to, w co **nie** wierzy?
LARSSEN. Alboż nie wierzyłem? Przecież wierzyłem!
RIIS. Djabła tam! — We mnie pan wierzył!
LARSSEN. To znaczy przez pana w rzecz, jak zwykle bywa w życiu.
RIIS. To znaczy przez jedno kłamstwo w drugie! Że też ja się tak dałem wystrychnąć na dudka!
LARSSEN. Na dudka? Tak, jednego z nas to spotkało! Pański system —
RIIS. Mój? To nie jest wcale mój system!
LARSSEN. Czyjże więc, jeżeli nie pański?
RIIS. Dawno przedemną był w życiu.
RAVN. Prawda!
LARSSEN. Ale przecież pan go u nas zaprowadził?
RIIS. Ja? Czy to ja jestem rządem? Czy jestem parlamentem? Czy mogę coś takiego zaprowadzać?
RAVN. Znakomicie!
LARSSEN. Ale to było... to jest... to wyszło przecież od komitetów, w których pan...

RIIS. Czy ja zwoływałem komitety? Lub czy ja przedstawiałem cały komitet?
LARSSEN. A to niesłychane!
RAVN. Doskonale! Brawo!
LARSSEN. Ale... właśnie... wykazy kosztów w błąd wprowadzały!
RIIS. To źle! Bo wykazy kosztów są pańskiem dziełem, Larssenie, wyszły z pańskiego biura! Jeżeli pan o tem zapomniał, przypomni panu każde sprawozdanie.
LARSSEN. W koń... w końcu ja więc... jestem wszystkiemu winien?
RIIS. Tak, ja chyba nie!
LARSSEN O!... teraz rozumiem! A ja tak w pana wierzyłem!
RIIS. Nie prosiłem o to zgoła!
LARSSEN Te słowa! Ten ton!
RIIS. Tak, to jest prawda; to już nie fałsz, może się pan na to spuścić! Skoro teraz tak w modzie, wolno i mnie być modnym! — Odejdź pan teraz, Larssenie, inaczej mógłbym stać się tak „prawdziwym“, żebym panu drzwi pokazał!
LARSSEN. Żegnam pana dyrektora! (*Odchodzi*).
RAVN. Zdaje mi się, że mogę złożyć papiery. Mniemam, że pana już nie będziemy potrzebowali. (*Zgarnia je*).
RIIS. Ach, idź do djabła z całym kramem!
RAVN. To mi się podoba! Tak miło wreszcie raz przejrzeć człowieka do gruntu!
RIIS (*zafrasowany przystaje*). Długo byłem cierpliwy. Ale na co się to zdało?
RAVN. Więc — niech pan lepiej — zrobi to, co ja zrobiłem.
RIIS. Jakto?
RAVN. Uczynić publiczne zeznanie.
RIIS. Nie mam nic do zeznawania.
RAVN. Ach tak! Do widzenia!
RIIS. Zeznanie! Zwarjował? (*Ravn wyszedł*). Kto tam? — Ty?

SCENA III.

RIIS. RIISOWA. FRYDERYK RIIS.

RIIS. I ty jeszcze? O co płaczesz? Cóż się znowu stało? Mało mam czasu i nie jestem usposobiony.

RIISOWA (*szlocha*). Fry-de-ry-k...

RIIS. No? cóż takiego? On —?

RIISOWA. Wyznał mi wszystko. (*Łka*).

RIIS. Wszystko? Jakto? Co takiego?

FRYDERYK. O Annie, ojcze.

RIIS. No, no! Tak, wyładujcie wszystko naraz! Obraliście dobrą chwilę!

RIISOWA. Nie może być inaczej, kochany mężu, tylko Fryderyk musi za nią podążyć bezzwłocznie.

RIIS. Ach, to przechodzi wszelkie granice! Ani mi się rusz! Czyż Fryderyk ma obowiązki względem różnych ludzi tylko nie względem mnie? Zresztą jego zdradę mogę znieść. —

FRYDERYK. Co?

RIISOWA (*jednocześnie*). Mężu!

RIIS. Tak, dziś i ja mówię „prawdę.“ — Mogę znieść póki tylko ja o tej zdradzie wiem. Ale podróż jego — w tej chwili równałaby się ucieczce z tonącego okrętu. Na to nie zezwolę nigdy w życiu!

FRYDERYK. A więc pojadę bez pozwolenia!

RIISOWA. Frydziu!

RIIS. Spróbuj! Ha, coś podobnego chyba dotąd nie spotkało nikogo!

RIISOWA. Bądź teraz pełen miłości, mężu!

RIIS. Et, daj mi pokój z twojemi banialukami o miłości!

FRYDERYK. Nie, teraz muszę. —

RIIS. Sprzysięgliście się przeciw mnie! A wszystko to z tej twojej nieszczęsnej rodziny wyszło!

RIISOWA. Wciąż wyrzucasz mi moją rodzinę!

RIIS. Czy nie jej mam zawdzięczać wszystkie moje niepowodzenia? O ja, nieszczęsny, któremu los kazał płynąć na jednej z nimi łodzi! Czegóż nie robiłem, aby utrzymać równowagę a przynajmniej chociaż po-

zory ratować? — A teraz? Kiedy wszystko się na mnie wali, własne dzieci, przez matkę wiedzione, rzucają się jedna na szyję mojemu najzaciętszemu wrowrogowi, drugi prostej dziewce.

FRYDEREK. Wyjdź mamo!

RIISOWA. Frydziu, nie gniewaj się na niego! On tyle cierpi!

RIIS. On gniewać się na mnie? za to, że mówię prawdę?

RIISOWA. Nigdy cię nie widziałam takim!

RIIS. Rzeczywiście, nigdy!... Ale człowiek całe życie cierpliwie znosił najwstrętniejsze gadaniny... niechże i mnie przynajmniej rąz wolno powiedzieć, co myślę!

RIISOWA Ależ ty tak nie myślisz, mężu! Wiem o tem!

RIIS. To się mylisz! Bo właśnie myślę, że dzieci odciągnęłaś odemnie --

RIISOWA. Ja?

RIIS. Ty i twoja rodzina... tak... i powiedziałbym już od samego urodzenia.

RIISOWA. Kochany mężu, przecież ja nie jestem winna, że dzieci podobne są do mojej rodziny. (*Szlocha*).

RIIS. O, gdybyś nie była ich bardziej kochała niż mnie, byłyby bachory też podobniejsze do mnie niż do nich!

FRYDERYK. Mamo, proszę niech mama wyjdzie teraz! — Chodź mamo!

RIISOWA. Nie chcę, żebyś mówił z ojcem bezemnie.

FRYDERYK. Ale ja chcę, mamo! (*Odciąga ją ku drzwiom*).

RIISOWA. Frydziu!

FRYDERYK. Muszę mamo!

RIISOWA. Ale bądź dobry! Pamiętaj, jakie teraz ma przykrości!

FRYDERYK. Dobra, kochana mateczko! (*Ściska ją, całuje i wyprowadza, poczem wraca zaraz*).

SCENA VI.

RIIS. FRYDERYK.

RIIS. Nie życzę sobie rozmowy z tobą,

FRYDERYK. Ale ja sobie życzę (*Wyciąga list*).

RIIS. Mam nadzieję, iż zrozumiałeś, że cierpliwość moja się wyczerpała?

FRYDERYK. I moja również. (*Otwiera list*).

RIIS. Odejdź!

FRYDERYK. Mam tu coś od kogoś, noszącego imię Maryi.

RIIS. Maryi?

FRYDERYK. Tak brzmi podpis. Nigdy jej nie widziałem. Ale to jest ciotka Anny ze strony matki — list jest pisany do Anny właśnie.

RIIS. Od Maryi?

FRYDERYK. Znasz ją przecież, ojcze, prawda? (*Czyta*) „Matka twoja, kochana Anno, pisze mi, że kochasz Fryderyka Riisa, syna dyrektora i on przyrzekł się z tobą ożenić“ (*Urywa i mówi*). Przepraszam! — Muszę. (*Czyta dalej*). Jego ojciec ongiś mnie to samo przyrzekał. A mimo to porzucił mnie, aby przez małżeństwo zdobyć majątek i wpływowe stosunki. To się dziedziczy, kochane dziecię! Strzeż się więc jego syna!“ Może chcesz dalej sam czytać, ojcze?

RIIS. Nie.

FRYDERYK. — „To się dziedziczy“. —Niestety, czuję to. Ale dziękuję obecnie Bogu, że we mnie przeważa dziedzictwo matki. Jadę za Anną. Ta ceną nie chcę zdobywać lepszej karyery. Łatwo zeszedłbym potem na jakiś niepewny system —

RIIS. Synu!

FRYDERYK. Ach, — niedawno temu byłbym raczej życie dał, niż zgodził się na taką z tobą rozmowę. Muszę wyjechać — chociażby dlatego, że nie zdobyłbym się na nią częściej.

RIIS. Fryderyku!

FRYDERYK. Przestań krzywdzić mamę!

RIIS (*szeptem*). Co ty mówisz!

FRYDERYK. Nie krzywdź mamy! — Zacząłeś od oszukiwania jej.

RIIS. Ależ, Fryderyku —!

FRYDERYK. Ona o tem nie wie! Tak niewiele wy-

maga — z wszystkiego zadowolona... Czemuś nas nie uczył wierzyć w mamę? Ona przy swojej naiwności, swojem nierozwinięciu jest czemś tak pięknem! (*Riis zdaje się być głęboko wzruszony*). Bądź dla niej dobry ojcze! Bądź dobry! (*Riis podchodzi ku niemu i rzuca mu się na szyję*).

FRYDERYK. Dziękuję ci ojcze za wszystko, coś dla mnie uczynił. Dla mnie byłeś zawsze dobry!

RIIS (*wzruszony*). Miałem najlepsze chęci.

FRYDERYK. Wiem o tem... Ale teraz postępuj inaczej! Zacznij od Kary.

RIIS. Dobrze. (*Puszczają się i ściskają sobie dłonie*).

FRYDERYK. Dzięki! — Ta chwila, spodziewam się, sprowadzi mnie jeszcze kiedyś w progi domu. (*Jeszcze raz się ściskają. Po chwili puszczają się*). Postaram się najpierw czemś zostać!

RIIS. Przecież nie wyjeżdżasz od razu?

FRYDERYK. Nie w tej chwili. Mogę do ciebie, ojcze, przysłać Karę?

RIIS. Dobrze. (*Fryderyk wychodzi*).

SCENA V.

RIIS. KARA.

KARA. Nie gniewaj się na mnie, ojcze! Chciałam cię tylko prosić, abyś mi pozwolił wyjechać.

RIIS. I ty także?

KARA. Podałam się o posadę nauczycielki — i sądzę, że ją otrzymam.

RIIS. Ty nauczycielką! Dlaczegóżto?

KARA. Bo to jedno potrafię, — jeżeli wogóle jestem do czegoś zdolną.

RIIS. Ale przecież nie potrzebujesz.

KARA. Muszę się czuć samodzielną.

RIIS. Alboż tu nie jesteś samodzielną? Alboż nie robisz, co chcesz?

KARA. Nic nie robię zupełnie... a przytem — (*urywa*)

RIIS... a przytem?

KARA. Czuję obecnie niezbędną potrzebę pracy.
RIIS. A czyż nie możesz to w domu —?
KARA. Tak... ale — (*urywa*).
RIIS. Co ci jest?
KARA. Nie mogę pozostać w domu. (*Wybucha płaczem.*)
RIIS. Będzie lepiej. Wierz mi, teraz tu będzie inaczej, lepiej.
KARA. Ojcze, pozwól mi jechać.
RIIS. Jak wolisz... (*Siada*). A więc i ty mnie teraz chcesz opuścić?
KARA (*klęka przed nim*). Ciebie nikt nie opuszcza. Opuszczamy tylko to, co niedobre!
RIIS. O, Karo!
KARA. Z miłości dla ciebie gotowa jestem teraz dużo zrobić. Mama mnie nauczyła.
RIIS. A więc i ciebie unieszczęśliwię.
KARA. Po kilku latach zobaczymy.
RIIS. Po kilku latach... Kto wie, czy ja wtedy —
KARA. Może wtedy, będziesz, ojcze inaczej zapatrywał się na sprawę.
RIIS. Rozumiem... nie wierzysz...
KARA. Nie gniewaj się, ojcze, ale czy ty sam wierzysz?
RIIS (*wstając*). Tak! (*Kara podnosi się, Riis siada znowu*). Odejdź teraz, Karo! (*Odchodzi*).

SCENA VI.

RIIS. RIISOWA.

RIISOWA (*wsuwa głowę z prawej strony*). Sam jesteś?
RIIS. Tak, serce!
RIISOWA (*wchodząc*). Nie martw się tak bardzo, kochany. Czy to samo nie spotyka wszystkich, szlachetnych ludzi? Widzisz, to dlatego się dzieje, aby ich miłość i wiarę wystawić na próbę.
RIIS. Ach nie, nie, nie!
RIISOWA. Taki jesteś smutny!... Żebym to ja umiała cię pocieszyć! Ale kobieta jest tylko tem, czem ją jej mąż zrobił — a to czasem jest za mało.

RIIS. Powiedziałaś „czasem“. -- No, dajmy temu spokój teraz. Ach Boże, prawda!... A więc tak! tak!
RIISOWA. Takie obecnie dziwne czasy. Nic się nie może ostać.
RIIS. Jestto czas zwątpień — okres przejściowy.
RIISOWA. A czy nie każdy czas jest okresem przejściowym? Czy nie każdy czas ma swój system?...
RIIS (*zrywa się*). Nie wymieniaj mi tego wyrazu! — Przepraszam cię! Miej ze mną cierpliwość! Będzie lepiej, upewniam cię!
RIISOWA Nie myśl, kochany, że cię nie rozumiem.
RIIS. Tak, ty wierzysz — ty jedyna.
RIISOWA. A ty sam? — Póki człowiek jest pewny sam siebie, nic mu nie można zarzucić... Cóż masz zamiar zrobić teraz z sobą?
RIIS. Pójdę — pójdę... tak... dokąd?... Czyż jest miejsce, do któregobym teraz mógł dążyć?
RIISOWA. A wybrzeże? A morze? Tam taka nieskończoność -- nieprawdaż kochany?
RIIS. Bezwątpienia... tak rzeczywiście... Chodźmy zatem!
RIISOWA. Dobrze, pójdę z tobą. (*Bierze go pod rękę.*)
RIIS. A więc chodźmy! (*Wychodzą*).

KONIEC.